Nr. 10. We Lwowie, październik, 1923. Rok XLIV.

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Kalendarz łowiecki W październiku wolno polować na wszelką zwierzynę łowną.

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 3 złp., równająca się wrazie zapłaty w ciągu października 135.000 Mkp.

Prenumerata na III-ci kwartał 1923 wynosi 1½ złp., równającego się wrazie zapłaty w ciągu października 68.000 Mkp. — Ceny ogłoszeń: cała strona 1,200.000, ½ str. 600.000, ¼ str. 300.000, ⅛ str. 150.000, 1/16 str. 75.000, 1/32 str. 40.000 Mkp. Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50% drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, p. III. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839.

Pożądane bardzo wiadomości z rykowisk.

SPRAWOZDANIE

z Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia członków Małopolskiego Tow. Łowieckiego, odbytego we Lwowie, dnia 12. września 1923.

W obecności kilkudziesięciu członków Towarzystwa zagaja Prezes Juljusz hr. Bielski o godz. 3·20 Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie w sali Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Prezes podziękowawszy zebranym za przybycie, oznajmia, iż wskutek rezygnacji członka Wydziału p. Dra Sandera i zastępcy członka p. J. Ćwierzewicza, Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie ma dziś dokonać wyboru jednego członka Wydz. i dwu zastępców członków Wydz., oraz komisji rewizyjnej.

Po otwarciu dyskusji zabrał głos Dr. Malsburg i na wniosek jego dokonano przez aklamację wyboru na członka Wydziału Inż. Władysława Daneka.

Następnie Prezes zarządził 15-minutową pauzę, celem porozumienia się członków w sprawie wyboru trzech zastępców członków Wydziału.

Małop. Tow. Łow. tudzież redakcja i administracja „Łowca" mieszczą się w nowym lokalu ul. Ossolińskich l. 11, III p.

Po przerwie postawił Dr. Rosinkiewicz wniosek, by wybrano na trzech zastępców członków Wydziału pp. Dr. Izydora Śnieszka, Stanisława Jaśkiewicza i Marcelego Bidzińskiego.

Odmienny wniosek postawił inż. Kamienobrodzki, by zamiast p. Bidzińskiego, wszedł na zastępcę członka pan Witold Kwiatkowski.

Na wniosek p. Rawskiego, zarządził Prezes głosowanie kartkami i powołał do skrutynium pp. Müntera i Rawskiego.

Po przeliczeniu oddanych kartek, ogłosiło skrutynium wynik, który opiewa, iż lista inż. Kamienobrodzkiego otrzymała 18 głosów, zaś lista druga 16 głosów.

Wobec czego dokonano wyboru na trzech zastępców Wydziału Dr. Izydora Śnieszka, Stanisława Jaśkiewicza i sędziego Witolda Kwiatkowskiego.

Następnie, na wniosek p. Dr. Małaczyńskiego, wybrano do komisji rewizyjnej pp. inż. Gąsiorowskiego i D. Totha.

Po ogłoszeniu wyborów Prezes zdał sprawozdanie z Zebrania Zarządu Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, na którem uchwalono wniosek Wydziału Wykonawczego, o powiększeniu liczby członków Centralnego Zarządu przez kooptację pp: H. Knothego, W. Szperlinga, Wł. Słonczyńskiego, majora Br. Kudelskiego, jako przedstawiciela sekcji myśliwskiej wojskowego klubu sportowego „Kresy“ w Brześciu nad Bugiem, oraz o powiększenie członków Wydziału Wykonawczego do liczby 12-tu, przez przyjęcie, jako tymczasowych członków, do czasu zmiany statutu, pp.: J. Sztolcmana, St. Lilpopa, W. Szperlinga, Wł. Słonczyńskiego i H. Knothego.

W sprawie przyszłej ustawy łowieckiej wydelegowano do narad w Ministerstwie Rolnictwa komisję, złożoną z pp.: Stolcmana, Lilpopa, Różyńskiego, Morstina i rejenta Wysockiego.

Z uznaniem przyjęto projekt Prezesa hr. Bielskiego w sprawie utworzenia łowieckich Towarzystw wojewódzkich i powiatowych, poczem uregulowano sposób wpłacania wkładek Stowarzyszeń na rzecz Centrali, która będzie pobierała, począwszy od lipca b. r., co miesiąc od Stowarzyszeń 5% od efektownych wpływów do ich kasy.

W końcu p. Wychera postawił wniosek, by M. T. Ł. odniosło się do Władz celem zamknięcia jeszcze na jeden rok polowania na kuropatwy w całej Małopolsce Wschodniej, gdyż stan kuropatw wskutek różnych klęsk jest bardzo nikły. Wniosek uchwalono.

Po obszernej dyskusji nad wnioskiem Dr. Rosinkiewicza, w której zabierali głos Dr. Sander, Inż. Weiss, Dr. Schram, p. Wychera, by żądający zamknięcia polowania pewnego terenu, nie mógł sam dzierżawić tego terenu, wnioskodawca swój wniosek cofnął.

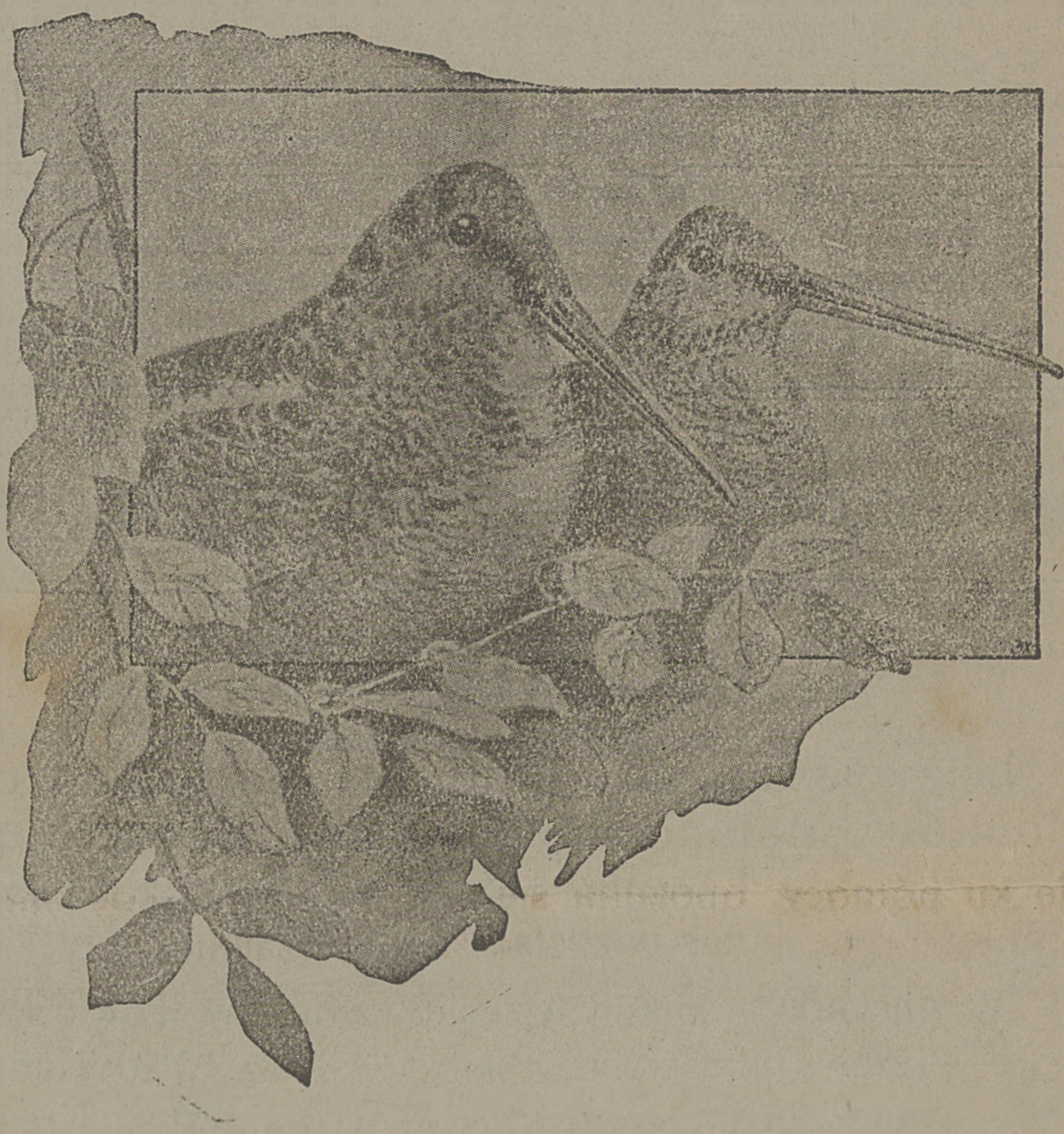
Również uchwalono wniosek Dr. Sandera, aby Wydział M. T. Ł. zakupił jednorazowo 500 egzemplarzy „Łowca polskiego“, dla poparcia tego nowego organu i dołączyć do numeru wrześniowego Małopolskiego „Łowca“, dla propagandy.

Po wyczerpaniu porządku dziennego, inż. Ebenberger w przemówieniu do p. Prezesa, zaznaczył jego zaszczytną i godną reprezentację Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego na Zjeździe Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich Warszawie.

Zjazd ten uznając owocne zasługi długoletniej pracy M. T. Ł., wybrał jednogłośnie Prezesem Centr. Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie, Prezesa M. T. Ł. Juliusza hr. Bielskiego, oraz sześciu innych członków do Zarządu Centralnego Związku.

Walne Zgromadzenie przez powstanie i huczne oklaski wyraziło podziękowanie swemu Prezesowi p. Juliuszowi hr. Bielskiemu.

Prezes dziękując obecnym za przybycie, oraz Towarzystwu Gospodarskiemu za salę, zamknął obrody o godzinie 16·45.



JAN STARY

Coś niecoś ze spostrzeżeń i parę uwag w obronie zwierzyny.

W artykule „W obronie słomki“ w n-rze 8. „Łowca“, zdanie na wstępie wyczytane — „że słomka będąca u nas do niedawna przelotną efemerą staje się naszym ptakiem lęgowym — trochę mnie zdziwił.*)

Znam słomkę od najmłodszego wieku, od lat, w których umysł zaczyna pracować, to jest od 4-go czy 5-go roku. Od tego upłynęło 50 lat, a wtedy już wiedziałem, że słomka, ten ptak z długim dzióbem, co wieczora lata i chrapie, na którego ojciec chodząc, zabierał mnie i matkę ze sobą do lasu, u nas się gnieździ, a było to w środkowej Małopolsce, koło Przeworska.

Przypominam sobie, jak ojciec pewnego roku na spacerze zboczył z drogi i zaprowadził nas w las i pokazał słomkę na gnieździe siedzącą, a matka, trzymając mnie za rękę, napominała, bym cicho się zachowywał, by słomki nie spłoszyć. Chodziliśmy tam następnie, gdy były młode.

*) Słomka była u nas ptakiem gniazdowym zawsze, ale nie wszędzie i nigdy w takiej ilości, jak obecnie (Red.)

Jako chłopiec, goniąc po lesie, znachodziłem gniazda słomek z jajami. Gdy się słomka przedemną zerwała, wiedziałem, że tam musi być gniazdo, więc dla ciekawości szukałem, aż go odnalazłem. Pracując, w długim okresie zawodu łowieckiego i leśnego, napotykałem w różnych stronach kraju gniazda słomek, a w kwietniu b. r. w lasach janowskich, wystawił mój pies słomkę wysiadującą. Przez przeciąg lat 50 nie zauważyłem żadnej zmiany. Słomki, jak dawniej, tak i teraz u nas się znoszą i lęgną.

Od lat z górą trzydziestu wychodząc wcześnie rankami na toki cietrzewi i wieczorami na dziki i rogacze, słyszałem i widziałem często w miesiącach maju i czerwcu przeciągające słomki, tak samo, jak je i teraz przy tych sposobnościach widuję i słyszę, tylko może dawniej w większej ilości.

Jeżeli starzy i dawni myśliwi, opiewali ciągi słomek, które dla nich niezwykły urok miały, to chyba dowodzi to najlepiej, że słomka zawsze była naszym ptakiem lęgowym, bo tam, gdzie ona wieczorami chrapie, to jest paruje się — a co już nie jest właściwym ciągiem — tam się też i gnieździ. *)

Możliwe, że zmiany klimatyczne i późne wiosny mogły się przyczynić do zatrzymywania się u nas większej ilości słomek w przelocie wiosennym na północ i dlatego może mamy mniejszy stan słomek przy ciągach jesiennych, a zato w stosunku do obecnej ich ogólnej ilości obficiej na wiosennym ciągu.

Kto sobie przypomina rok 1906, który dla myśliwych był niespodzianką, bo gdy przepiórki miano prawie za wymarłe i wiele o tem mówiono, to one, jakgdyby zadokumentować chciały, że z niemi nie jest tak źle, pojawiły się w tym roku w takiej niemal ilości, jak w dawnych, dobrych czasach, a przyczyna tego była wtedy całkiem prosta i spowodowana tą okolicznością, że na północy zima uporczywie się trzymała, a wiosna i z nią wegetacja potrzebna do ochrony przepiórkom podczas posuwania się ku północy, opóźniła się. Przepiórki zaskoczone czasem lęgowym, u nas pozostały i tu się zagnieździły i lęgły.

Przez następnych parę lat mieliśmy więcej przepiórek, ale te miały inne zwyczaje jak nasze rodzime, które od nas zwykle w połowie września odlatywały. Przepiórki w r. 1906 opuszczały nas już w pierwszej połowie sierpnia, a powód tego był ten, że przepiórki z północnych krajów o miesiąc wcześniej swoje miejsca lęgowe opuszczają, wysiadując i wychowując tylko jeden raz młode, gdy nasze małopolskie dwa lęgi odchowują.

Zatrzymanie i gnieżdżenie się przepiórek z krajów północnych u nas nie wpłynęło na ich rozmnożę, owszem, zadało im to może najbardziej zabójczy cios, gdyż nic bardziej nie tępi naszego ptactwa łownego, jak kultura rolna. Na północy, gdzie się łąki raz w roku kosi i to w sierpniu lub wrześniu, nie uprawia rolnik koniczyny, gdzie dużo nieuprawionych pól porośniętych trawami i zielskami odłogiem leży, lęgną się i wychowują przepiórki swobodniej. U nas zaś, gdzie łąki, koniczyny, mieszanki etc. już w maju bywają koszone, gdzie każdy kawałeczek ziemi jest uprawiany, każdy zasiew plewiony, przyczem się masowo gniazda niszczy i tem się w ptactwie większe spustoszenie wyrządza, aniżeli wyłapywanie przez Włochów i Greków, jakoteż wybijanie i wystrzeliwanie masowe tegoż na afrykańskiem wybrzeżu morza Śródziemnego, przez tubylców i Anglików.

Jeżeli słomka ze strefy północnej także z dalekiej podróży rezygnuje i u nas pozostaje — coby dowodziło, że klimat tam dla ptactwa staje się niewygodnym, a zatem zmienia się na niekorzyść dla tego ptactwa — to i słomka, podobnie jak przepiórka, na tem mocno ucierpi, gdyż w naszych lasach takiego spokoju podczas lęgów nie znajdzie, jakie miała w dziewiczych lasach krajów północnych i jesienią podczas ciągów stanie się ptakiem rzadkim.

*) Twierdzenie niesłuszne. Słomki po drodze na południe się parują, ale nie wszystkie zostają dla lęgu.

Tak zwane ciągi, a raczej wabienie się słomek w czerwcu i w lipcu dowodziłoby, że słomki z północy, aklimatyzując się w strefie naszej, zyskując na czasie, tak jak przepiórki po dwa lęgi odchowują.

Pozwolę sobie przy tej sposobności podnieść rzecz, z którą się poniekąd nie mogę zgodzić, a mianowicie stosowanie normy „ciągu słomek" (Schnepfenzug) w czasie, gdy na wiosnę, szczególnie w kwietniu na nie z takiem upodobaniem wieczorami wyczekujemy. To już nie jest ciąg, to jest wabienie się wzajemne samczyków i samiczek, bawienie się parkami, a nawet po kilka w powietrzu, przelatywanie w koło i szukanie się tych słomek, które przybyły na właściwe miejsce, do siebie, do domu.

Kto nie czekał na wieść, aż mu straż leśna czy łowiecka doniesie o ciągu słomek i gdy tylko śniegi zeszły, już wieczorami do lasu chodził, przebywając tak do nocy, ten może się bodaj raz spotkał z właściwym ciągiem słomek, z takim, jak go ja kilkakrotnie obserwowałem, gdy to słomki stadkami po kilka i kilkanaście sztuk, jedno stadko za drugiem, nizinami, łąkami leśnymi potokami, a nawet linjami przy ziemi, szybko, jak strzały, prawie niedostrzegalnie w jednym kierunku, mniejwięcej wschodnio-północnym, przelatują z pośpiechem, by jaknajprędzej tam gdzieś, dokąd zdążają, dolecieć. Po odbyciu pewnej przestrzeni zapadają w zarośla w miejscach cieplejszych, wilgotnych, na spoczynek, by następnego wieczora wylecieć i nocą znowu — że się tak wysłowię — kawał drogi upalić. To jest właściwy ciąg słomek z południa na północ i niezawodnie ciąg z północy na południe również się tak odbywa, o ile jest obawa, by ich zima nie zaskoczyła. Zresztą na południe słomki lecą ze złej konieczności, zatrzymując się po drodze tak długo jak się da, o ile zima nie zagraża.

Kto z uporem wystrzeliwa słomki u siebie na ciągu wiosennym, ten wystrzeliwa swoje własne słomki, ten właściwie tępi słomki te, któremi się powinien opiekować.

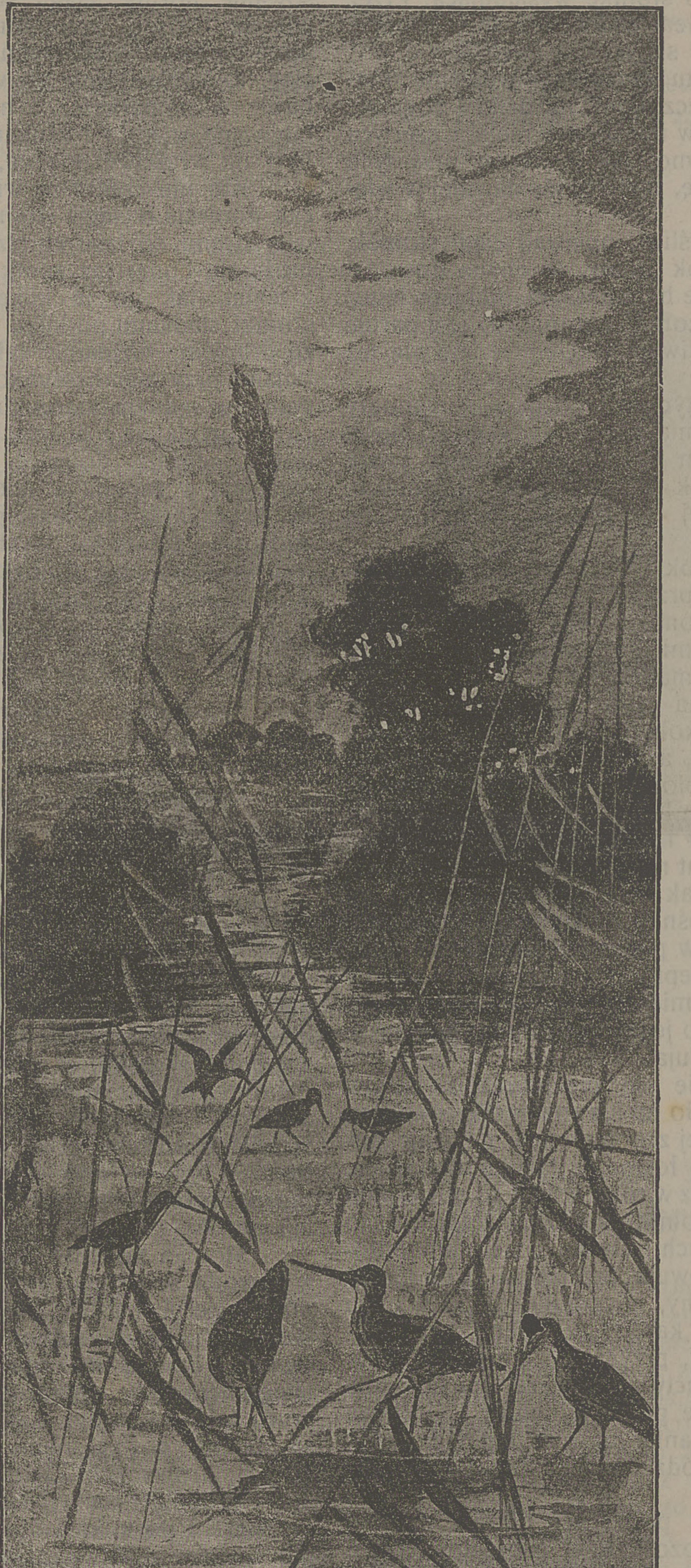
Ustawa łowiecka austrjacka chroniła słomkę w poszczególnych prowincjach od 1. względnie 15. kwietnia, do 1. względnie 15. sierpnia. W Małopolsce od 15. kwietnia do 15. sierpnia i było przyjęte, że nikt 16. kwietnia do lasu na słomki się nie fatygował, aby sobie wstydu nie zrobić i z tym dniem ciąg słomek uważano za skończony. Dziś czasy się zmieniły, więc etyki myśliwskiej u nas niektórzy zbyt ściśle nie biorą, a ustawy łowieckie także nie. Dziś, gdy się żyje w Najjaśniejszej Wolnej Rzeczypospolitej, niejeden swobodę na swawolę zamienia i chce zażywać swobody w pełni, strzelając do słomek nawet w czasie ochrony, myśląc sobie: „Ktoby tam w czasach paskarstwa, wyzysku, lichwy etc. skrupuły z takiej drobnostki, jak strzelanie słomek poza 15-tym kwietnia sobie robił, tembardziej, gdy to ptak obcy, tak dobrze ubitego spieniężyć można, przytem strzał łatwy, a pobyt w lesie wieczorem tak miły".

Słomka podczas ciągów jesiennych i wiosennych już z powodu szybkiego lotu, nisko przy ziemi, a w dodatku nocą, cierpi bardzo przez nasze urządzenia kulturalne. Wszyscy myśliwi, razem wziąwszy, nie wystrzeliwują tyle słomek, ile się ich rok rocznie podczas ciągów o druty telegraficzne i telefoniczne zabija. Znam wypadki z dawniejszych czasów, gdy niektórzy budnicy kolejowi handel słomkami, pozbieranemi pod siatkami drutów telegraficznych, prowadzili. Znałem jednego banmistrza osobiście, który jesienią i na wiosnę każdego dnia z objazdów swej przestrzeni po kilka i kilkanaście słomek przywoził, które mu budnicy oddawali. Ja sam, mając linję telegraficzną o dwóch tylko drutach, przecinającą mój rewir, chodziłem rankami z legawcem i obszukiwałem pod drutami teren, za zabitemi o te druty słomkami. Jeżeli się zważy, że mimo głębokiego jaru, porośniętego gęstymi krzakami, o ścianie pooranej wyrwami i urwiskami, nad którym druty prowadziły, mój pies legawy jednego ranka 5 słomek odszukać potrafił, a słomki w swojej podróży dziesiątki, a nawet setki linij telegraficznych napotykają, to można sobie przed-

stawić spustoszenie, jakie nasze telegrafy wyrządzają, nie tylko w słomkach, ale także w innem ptactwie.

* * *

Nawiązując do korespondencji: „Jak się cyranki niosą w kieszeni panieńskiego płaszczyka“, pozwolę sobie na parę uwag w obronie zwierzyny. Zdarzenie to niezwykłe, gdyby nie było do zanotowania, było o wiele korzystniejsze dla biednej kaczusi, dla stanu cyranek, dla łowiectwa etc.



Gdyby był gajowy kaczkę złapał nie w obecności panny Bochdanówny, byłby ją zwyczajem chłopskim udusił i ugotowawszy, zjadł, albo, mając widoki, że się nią podliże, a następnie coś wyprosi, zaniósłby tam, gdzie na największą korzyść dla siebie miałby widoki. Panna Bochdanówna byłaby o wiele lepiej zrobiła, gdyby gajowego była skarciła, wytłumaczyła mu, że się nie godzi kaczek łapać, a popieściwszy kaczusię, była ją wypuściła. Mogła mieć na Pełtwi o jedno stadko 10 do 12 sztuk cyranek więcej, a może byłby się znalazł teraz myśliwy, jak królewicz z bajki, który celnymi strzałami uszczkąłby z tego stadka kilka sztuk dla stołu „Bogdanki“, a w nagrodę niezawodnie pozyskałby serduszko, a tak popełniła panna Bochdanówna razem z gajowym czyn karygodny i zmarnowała wszystko. Zyskał sobie tylko względy szakal-niszczyciel chłop, w postaci gajowego, któremu nic świętem nie jest i otrzymał w dodatku zapewne nawet miano sprytnego łowca - myśltwego, który kapeluszem kaczki łowi.

Biedna kaczusia-kwoczka — którą uczucia macierzyńskie, przed zniesieniem ostatniego jajka tak ją oszołomiły, że padła ofiarą tych uczuć i dostała się w kojec pod kapryśne oczko miłośnicy zwierząt w niewoli — choćby nawet wypuszczona — o ile błąkając się, po drodze, gdzieś przez gołębiarza zjedzoną nie została i do siebie trafiła, jaj naniesionych już nie odnalazła i nie wysiedziała.

Tych parę uwag zrobiłem dlatego, by panienki ziemianki więcej serca okazywały dla zwierząt i nie męczyły ich w niewoli i uważały za swój obowiązek, przy każdej sposobności oddziaływać na ludność dobrym przykładem, pouczając, że nie godzi się zwierzyny przy każdej nadarzającej sposobności wyłapywać i przez to niszczyć.

* * *

Rozpisawszy się, zahaczyć jeszcze muszę o korespondencję z Łańcuta, na którą zawsze bardzo ciekawy jestem. Przecież Łańcut miał być, dzięki szalonym wkładom ś. p. Ordynata Romana hr. Potockiego — (60.000 złr. rocznie, co przerachowanc na marki polskie, bajońską sumę kilku miljardów marek by teraz wynosiło) — alfą i omegą polskiego łowiectwa tak dla Austrji jakoteż Zagranicy i dlatego nie od rzeczy będzie, gdy zwrócę na okoliczność uwagę, że wielce szanowny autor korespondencji w n-rze 8. „Łowca“ za późno ze spisem odbytych polowań w ostatnim sezonie myśliwskim przyszedł, który to sezon nie kończy się przecież z końcem roku gospodarczego, ale z końcem stycznia. Widać z tego, że spis polowań, który do publicznej wiadomości miał przejść, był trochę żenującym i dlatego tak późno się pojawił, a dowodzi tego narzekanie na aurę, kłusownictwo, paserstwo etc. — i usprawiedliwianie się, iż polowano tylko godzinkami.

Rzeczywiście ubolewać należy, że Łańcut, mając chyba warunki obecnie jak drugich w Małopolsce niema, podupadł pod względem zwierzyny tak bardzo.

W ostatnich latach, jeżdżąc często w kierunku Krakowa, wychylałem się z pociągu, mijając tereny łowieckie, by się, jak dawniej, nasycić widokiem zwierzyny, ale spotkał mnie zawsze sromotny zawód. Jeżeli tu i ówdzie dało mi się z pociągu dostrzec zajączka lub stadko kuropatw ua śniegu, to na terenach łańcuckich, mimo najskrupulatniejszego wypatrywania, nic nie widziałem, jakgdyby tam zwierzyna wymarła.

Do najobfitszego w zające i kuropatwy powiatu, jaki zauważyłem, muszę zaliczyć powiat jarosławski. Z którejkolwiek strony się do powiatu wjeżdżało, a szczególnie od Rawy Ruskiej, zauważyć było można na śniegu stadka kuropatw i zajączki, a tych ostatnich podczas wiosennych robót w polach, naliczyłem w przejeździe czasem kilkadziesiąt, a nawet grupkami po kilka razem podczas parkotów. A przecież ten powiat przechodził szalone bitwy. Postoje ogromnych mas żołdactwa rosyjskiego podczas oblężenia Przemyśla, zrobiły tam spustoszenie, jakiego Łańcut nie zaznał, a jarosławskie tereny łowieckie są w dodatku rozdrobnione.

Zastanowićby się należało nad przyczyną takiego upadku zwierzyny w łańcuckim powiecie, a choć przyczyny

tego upadku nie są mi poniekąd obce, pozwolę sobie tylko na tę jedną uwagę, że narzekanie na Władze etc. nie jest na miejscu i rzeczy nie zmieni, tam trzeba ofiar, a mianowicie wyrzeczenia się strzelaniny, dziczyzny i opolowywania zbyt dokładnego terenów, gdyż właśnie narzekanie, jakie przez wypadek z prowadzonej rozmowy między dwoma nemrodami przy pociągu na stacji w Łańcucie miałem sposobność posłyszeć, a które brzmiało: „Z powodu ciągłych przeszkód atmosferycznych zaledwie raz mogliśmy tereny opolować“ — daje dużo do myślenia.

Dziś, gdy zwierzyna w łańcuckiem do minimum spadła, opolowanie każdego zakątka nawet jednorazowe, jest zabójstwem dla tej zwierzyny. Tam trzeba ochrony przez wyrzeczenie się opolowywań.



JÓZEF HR. POTOCKI.

Z obcych światów.

Nad Setitem.

(Kartki z wyprawy myśliwskiej)

—▬—

(Ciąg dalszy)

3. marca.

Lew krążył koło taboru i donośny ryk jego słyszano w nocy w obozie kilkakrotnie. Wyszedłszy zrana, znalazłem jego świeżutkie ślady o 150 kroków od mego łóżka. Chłopcy przedemną, pociemku jeszcze, poszli szukać lwicy, a potem mieli się rozejść. Ja zaś, zwiedziwszy spory kawał dżungli, zasiadłem nad innym, nieznanym nam dotąd wodopojem. I znów, jak wczoraj, w samo południe, zoczyłem na urwistym stoku przeciwległego brzegu kilka roanów, które poczęły zwolna opuszczać się ku rzece, nasłuchując i przystając ostrożnie, zanim zeszły do wody.

Odległość była olbrzymia, ale podejść bliżej nie było możności, nastawiwszy przeto teleskop na trzysta kroków, strzeliłem do stojącej z przodu największej sztuki — byka. Po strzale zwierz dał znak i w ciężkim galopie rzucił się do ucieczki, gramoląc się z trudnością na stromy pagórek. Posłałem mu jeszcze dwie kule, z których żadna nie minęła celu i ludzie moi odrazu orzekli, że roan śmiertelnie raniony. Sporo jednak czasu upłynęło, zanim dostaliśmy się na drugi brzeg rzeki, dosyć tu szerokiej i wartko płynącej i dotarli w skwarnym upale piekącego, jak ogień, słońca, po ostrych i nierównych kamieniach koryta, do miejsca postrzału.

Zdaleka już widniała obfita smuga farby i po kilkuset krokach mozolnego drapania się pod górę, ujrzałem zwierza ciężko rannego, brodzącego w wysokiej trawie. Dwu kul jeszcze potrzebował, zanim się zwalił na ziemię.

Sztuka była wspaniała, zwłaszcza ogromna w ciele; większa, niż pilawiński jeleń Wapiti, ale w rogach od Romkowego byka słabsza. Nad Nilem Niebieskim w roku 1901 zabiłem trzy roany, z których był jeden duży, większy od tegorocznych i, dalibóg, nie spodziewałem się nigdy, że jeszcze raz w życiu będę roana mieć na swoim rozkładzie! Wspaniała to antylopa, do najpiękniejszych trofeów afrykańskich zaliczana.

Wracam do obozu wcześnie, aby wysłać wielbłąda po ubitego roana i zastaję już Józia, który chybił bushbuck'a, a przyniósł ładnego ariela.

Za lwicą chodzili, słyszeli ją nawet w gąszczach, ale do strzału nie doszli. Zarządzam tedy budowę zeriby pod samym obozem, gdzie widnieją nocne tropy lwa i myślę sam w niej zasiąść.

Romek wraca niebawem, jak zwykle, z ładną zdobyczą. Położył dobrego roana i dwa bush-buck'i. Gdy zajadał podwieczorek przy stole, przy którym piszę te notatki, ludzie nasi w wielkiem podnieceniu sygnalizują ariele na przeciwległem brzegu rzeki; nie ruszając się z krzesła, widzę je przez Zeissa, a między nimi ładnego rogala. Romek schwycił sztuciec i z pod samego obozu zwalił go celnym strzałem z przeciwległego pagórka. Na dopełnienie ślicznego dnia dzisiejszego, Józio, który popołudniu wyszedł na spacer za pantarkami, wraca po paru godzinach, uszczęśliwiony ze spotkania nad brzegiem Setitu pysznego water-buck'a (Cobus Defassa), byka, z wyjątkowo długiemi, niemal rekordowemi rogami, którego ubił ładnym strzałem na miejscu.

A zatem — rezultat dnia dzisiejszego: 2 roany, jeden water-buck, 2 bush-buck'i, 3 ariele, czyli ośm sztuk pięknej zwierzyny. Lista zabitych przez nas antylop wyczerpuje już cyfry, dozwolone na podstawie naszych licencji. Pragnąłbym jeszcze spotkać się ze lwem i słoniami, ale czas nagli do powrotu.

Jutro rano cofamy się w dalszej drodze powrotnej.

4. marca.

Noc przesiedziałem w ciasnej, źle zbudowanej i niewygodnej zeribie, skurczony we czworo. Przypomniały mi się czasy somalijskiej wyprawy, gdy dwadzieścia nocy bezskutecznie na lwa czatowałem. Dziś lew nie przyszedł i nawet znaku życia o sobie nie dawał, co zresztą post factum okazało się zupełnie naturalnem, bo tyle ścierwa z ubitych antylop leży gęsto po dżungli, że nie miał potrzeby trudzić się do marnej kózki, wystawionej na przynętę. Niestety, trzeba się pożegnać z nadzieją dalszego spotkania ze lwami.

O świcie wyprzedzamy obóz. Południowy biwak wypada między Hagar-El-Zaruk i Zahani, gdzie staliśmy 22. lutego. Spotykamy świeże tropy żyrafy. Shikari mówią, że to ulubiony ich przesmyk, którymi z głębi kraju do wodopoju ściągają, ale zwierz to ostrożny i rączy, przechodzi nocami dalekie przestrzenie i spotkanie z nim należy do rzadkości.

Skrzętny Romek zabija na potrzeby kuchni gazellę Heuglin'a, Józio przynosi sporo pantarek, a ja, jakby na pożegnanie, miałem śliczne spotkanie nad rzeką z czterema wspaniałymi roanami, które o paręset kroków odemnie w wolnem tempie przyszły do wodopoju. Zdobyłem się na wstrzemięźliwość i lornetka zastąpiła sztuciec. Mamy już 5 ubitych roanów, licencje wyczerpane — szkoda więcej strzelać.

Wobec mnogości żyrafich śladów, Achmet-Karuma proponuje Romkowi nocną zasadzkę na rzadkiego zwierza, z którym nie spotkaliśmy się dotąd. Zasadzka projektowana jest jednak nie przy wodopoju nad rzeką, lecz w dżungli koło przesmyku, gdzie się ich tropy krzyżują.

Niebardzo wierzę w możliwość udania się takiej zasadzki w ciemną noc, gdy strzał o kilka kroków nawet jest trudny, lecz przy szczęścui, jakie Romkowi sprzyja, wszystko jest możliwe.

5. marca.

Romek spędził noc na zasadzce i oto, jak przygody swoje opisuje:

„Coś na kształł zasłony z gałęzi urządzono mi nie przy rzece, jeno w dżungli na przesmyku, prowadzącym do wodopoju. Zaraz z wieczora pierwsza, jak zwykle, zjawiła się hjena, którą naturalnie przepędziłem. Do trzeciej nad ranem był spokój. Około tej godziny w oddali nad rzeką przeciągłym rykiem odezwał się lew, któremu zawtórowało jazgotliwe ujadanie małp, połączone z ciskaniem kamieni do wody, czem starają się one srogiego wroga odstraszyć. Lew oddalił się, po chwili zaś usłyszałem zbliżającą się wielkiemi krokami żyrafę, przy głośnem graniu śledziony, jak to czasem bywa u konia rasowego w kłusie. Ostrożnemu zwierzęciu jednak wydał się krzak, za którem siedziałem, widocznie podejrzanym, skręciła bowiem w bok i w ciemnościach nie sposób mi było rozpoznać sylwetki żyrafy. Odeszła do wody, aby po długiej chwili tąż samą drogą powrócić. Jaśniej już było nieco i ujrzałem ją wówczas o jakie 40 kroków, stojącą na przesmyku przed krzakiem. Na jaśniejszem tle horyzontu rozpoznałem jeno długą szyję i głowę, ale korpusu dokładnie w ciemności dojrzeć nie zdołałem i trudno mi było zmiarkować, czy stoi do mnie sztychem, czy bokiem. W chwili, gdy już podniosłem sztuciec do strzału, shikari schwycił mnie za rękę, szepcząc, że sztuka zbyt mała, strzału nie warta. To mnie zniechęciło — odłożyłem strzelbę i żyrafa w tej chwili skręciła, znikając w ciemnościach, Jak się później na śladach pokazało, sztuka była istotnie niedorośnięta, ponieważ zaś żyrafa licencją nie jest objęta, trzebaby było za odstrzał 10 Ł. extra za nią uiścić“.

Oto jedyny epizod spotkania żyrafy w czasie naszej wyprawy. Swoją drogą, żałuję, że jej na rozkładzie nie mamy. Mnie osobiście nie udało się nigdy w życiu widzieć żyrafy na wolności, chociaż nad Nilem Niebieskim długie marsze za niemi odbywałem.

Drogą powrotną dążymy dalej do Giry. Pogoda wciąż cudna. W dzień słońce przypieka, ale noce i ranki chłodne. Dziś przed słońca wschodem było 12° R. Klimat idealny!

W czasie pochodu spotykamy gazelle i pantarki. Śpiżania polowa wciąż zaopatrzona.

Biwak południowy wypada w uroczej miejscowości, gdzie cztery ogromne jakieś konifery, do cedrów podobne, tworzą jakby zacienioną altanę na samym trakcie wielbłądzim. Liczne inicjały w korze wyryte świadczą, że niejedna wyprawa myśliwska w cieniu tych cedrów sudańskich odpoczywała. Duże S. z czasów przedwojennych, wskazywać się zdaje na znaną ekspedycję lorda Sefton. Dziś jeszcze chcemy dotrzeć do Wad-Heleu. Jutro na wieczór do Sofi.

Zapłaciłem dziś część naszych ludzi — tubylców, wynajętych po drodze, jako przewodników do wycieczek myśliwskich. Otrzymują po 15 piastrów dziennie (koło trzy szylingów), oprócz sutych bakszyszów za oddzielne sztuki ubitej z ich pomocą grubszej zwierzyny. Ładna zapłata w obliczeniu na nasze polskie marki! Zadowoleni, czule się z nami żegnają i proszą o powrót w ich okolice.

Romka szczęście nie opuszcza. Niespodzianie wzbogaca nasz rozkład jeszcze jedną sztuką pięknej zwierzyny. Podczas popołudniowego spaceru nad rzeką natknął się na stadko water-buck'ów i, gdy poczęły przed nim uchodzić, wspinającego się pod stromą górę silnego byka uchwycił drugą kulą w krzyż i spuścił go do głębokiego urwiska, skąd dostać go nie było łatwo. Piękny rogal, mało co mniejszy od poprzedniego. Czwarty Cobus Defassa w naszym rozkładzie i ostatni, którego zabić mieliśmy prawo.

C. d. n.



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI.

Czterdzieści lat myślistwa w stepach i puszczach

1880—1920.

(Ciąg dalszy)

W bezleśnych stepach południowych, gdzie trudno o budulcowy materjał, urządzono, zamiast śpichlerzy, lejkowate jamy, wśród dalekich pól, gdzie w czasie młocki zsypywano ziarna odnośnego zboża. Kopano takie doły w gliniastym gruncie 2—2½ sążni głębokie, tyleż u spodu szerokie, u wierzchu zaś z otworem dwumetrowym. Wnętrze takiej jamy wymasywano szczelnie gliną, napychano je słomą i wypalano, jak zwykły garnek, w którym zsypane ziarno, hermetycznie u wierzchu słomą i gliną zasypane, doskonale przechowywano do wiosennego użytku. Wypróżnione takie doły stawały się często niebezpieczne dla pasących się trzód i przechodnia. Osobliwie niemieckie kolonje obfitowały w podobne na stepach śpichlerze i prawdopodobnie były ich pomysłem.

Nasz znajomy polował teraz na polach kolonji Wormskiej, pod Nikołajewem. Poszczuł on lisa na daleką metę, a nie mogąc podążyć saneczkami za ścigającymi psami, prędko stracił je z widowni. Po długich poszukiwaniach odnalazł gończe psy nad głębokim otworem opisanego garnka, z którego dochodziły go skomlenia zapadłych tam chartów. Aby psy stamtąd wyciągnąć, Andrusza robi arkan z lejc, podsuwa się na kraj otworu i po długich mozołach udaje mu się pochwycić psa, lecz w tej chwili, gdy go podciąga do otworu, kruchy brzeg jamy obrywa się —

i A. wpada do jamy. Wszelkie usiłowania wydostania się stamtąd okazują się daremnemi i nasz myśliwy pozostaje w zapadni uwięziony. Nad wysokim otworem garnka przesunęło się leniwie słońce, zaległ zmierzch, zamigotały gwiazdeczki, pucołowata twarz księżyca zajrzała na chwilę ciekawie do jamy, poczem długa nastała noc ciemna. Znów dnieć zaczęło, długo świeciło nad jamą jasne słońce, znów ściemniał firmament, tesame zamrugały gwiazdki, przesunął się pełny księżyc i znów długa ciemność nocna. A ratunek nie nadchodził. Psy dawno zjadły zaduszonego lisa i zaczęły zdradzać niebezpieczny niepokój, głód kręcił kiszki Andruszy i smutne myśli opanowały go; czarna ogarniała go rozpacz. Zawitał dzień trzeci, poraz trzeci słońce zatoczyło swój łuk nad jamą i już zniżało się ku zachodowi, gdy charty radośnie skomleć poczęły, kręcąc wesoło puszystymi ogonami. Niezadługo pokazały się na skraju jamy mordeczki ogarów i jakby oddalone szmery ludzkich głosów doszły do słuchu A. — Był ocalony! — Gdy koń powrócił pierwszego dnia do domu, nie zdziwiono się temu, gdyż niekiedy tak się już zdarzyło, lecz gdy następnego ranka powróciły ogary, zaniepokojony syn Mitja zawiadomił policję, która konne rozesłała rozjazdy, z których jeden wpadł na trop zaginionego i z pomocą ogarów uratował życie A. Mimo upływu lat kilku po tym wypadku, opowiadający nie mógł ukryć swego wzruszenia.

Kupiłem wojskowy karabin „Martini“ z całym arsenałem patronów. Chcąc go wypróbować, wyszedłem z Kimachą na niedalekie pola poszukać dropi. Znaleźliśmy sztuk kilka na pagórku ustronnym i po pewnych manewrach udaje mi się podejść je na 200 do 250 kroków, Przycisnąłem olbrzymi ten instrument do ramienia i palnąłem. Stuknęło jak z kolubryny, dym zasłonił mi przestrzeń, dostałem silny policzek i mocne uderzenie ramienia, omało nie padłem na ziemię. Dropie poszły zdrowe i całe. Wszedłszy na pagórek, spostrzegam w zagłębieniu niedalekiem pasące się stado bydła wiejskiego, a obok stojącego pastucha z odkrytą głową, zawzięcie bijącego pokłony i żegnającego się żarliwie przed leżącą jakąś sztuką bydła przed nim. Poszliśmy z K., a widząc strapione chłopa oblicze, pytam o przyczynę. „Jakże mi „ne żurytyś“ panoczku! ni gromu, ni tuczy, a oś skotynu ubyło“. Obejrzałem ową „skotynę“ „Grom“ mej kuli przebił jej czaszkę na wylot, mijając na szczęście koło niej będącego pastucha. Trzydziestu rublami zatkałem dziurę zabitej krowy, a mój instrument turecki poszedł w kąt na zawsze, nie miałem odwagi wziąć go więcej do ręki.

Po długiej pauzie, spowodowanej natłokiem obowiązkowej pracy, siadłem na mego kirgiza i z flintą i mym Lordem wyjechałem w step. Włócząc się bezcelowo czas długi po pustkowiu, zauważyłem na dalekim horyzoncie niewyraźnego jeźdca. Zwróciłem konie i byłem nie tyle ucieszony, ile zdziwiony spotkaniem i poznaniem w jeźdcu pannę Kati. Nigdy jej dotąd nie widziałem w podobnem usposobieniu, wzbudzającem we mnie pewne zaniepokojenie. Na ładnej twarzy gorzały niezwykłe jakieś rumieńce, rozszeżone, czarne źrenice, wydały się jeszcze ciemniejszemi i ciskały rażące błyski, podana mi ręka nerwowo jej drżała, Jechaliśmy czas jakiś obok siebie w milczeniu, niekiedy tylko, gdy nasze strzemiona trącone o siebie zadzwoniły, konie bokami otarły się wzajemnie, lub nasze kolana mimowoli spotkały się, prąd elektryczny przeszywał nas i wtedy przyśpieszaliśmy biegu. Wjechaliśmy w wysokie trawy, skąd podjęło się przed nami stado kur i zapadło w bliskich burzanach. Nie miałem w tej chwili na myśli zabijania czegośkolwiek, lecz ofiarowanie mi całusa za każdą ubitą sztukę, zniewoliło mnie pójść za stadem. Dzień był chłodny, wietrzny, kury harde i czujne nie dopuszczały blisko i kilka szpetnych zrobiłem pudeł. Biorąc ptaka na cel, zamiast niego, gorejące źrenice towarzyszki widziałem przed sobą na lufie, ręka mi drżała widocznie. Po kilku nieudanych strzałach wreszcie zabiłem koguta, a oddając go pannie Kati, nie śmiałem upomnieć się o obiecaną nagrodę, bałem się czegoś formalnie, siadłem więc na szpaka i ruszyliśmy przed siebie. Najniepożądaniej dla mnie zrywa strepet i tuż zapada przed końmi. Trudno było go pozostawić, podszedłem bardzo blisko i padł trupem. Zaczęło ciemnieć, panna Kati miała daleko do domu, daliśmy koniom ostrogę i popędzili cwałem. Gdyśmy wyjechali na szeroki gościniec i ściany białego dworku Olgowieckiego wyraźnie przed nami zarysowały się, panna Kati zdarła raptownie cugle swemu arabczykowi, aż przysiadł na zadzie, kopytami zarył głęboko w miękki grunt, a natarłszy na mnie, wycisnęła na mych ustach potężny uścisk i zniknęła mi z widowni, jak nieuchwytne zjawienie. Jechałem do domu w głębokiej zadumie, o tej dziwnej pół-polce, pół-serbce. Para ócz ciemnych stała mi przedemną, lecz nie tych kolących, palących, a tych łagodnych, głębokich, które tu na mnie z jakimś patrzeć się zdawały uporczywie.

Rok 1890.

W roku tym ożeniłem się i mą młodą, urodziwą żonę przywiozłem na Dzikie Pola z Warszawy. „Kto się ożeni, ten się odmieni“, mogłem to w części teraz do siebie zastosować. Ku wielkiej zgryzocie mego Kimachy, który obdarzał nas świeżą zwierzyną codziennie, czas jakiś zaniedbałem mych ulubionych wycieczek myśliwskich, choć ma żona, jako córka jednego z przednich myśliwych w Królestwie, była wyrozumiałą na me upodobania i sama niekiedy brała udział w mych wycieczkach, wolałem czas spędzać w jej towarzystwie, jak gonić samotny wiatry po stepie, a choć to niekiedy i zdarzało się, z dwóch lat początkowego pożycia, nie wiele miałbym do zanotowania. W czasie strasznego roku głodnego, jakim był w Rosji południowej rok 1892, przyjąłem administrację majoratu Czernowy Kulikowopolskich, posiadającego z górą 7.000 dziesięcin równin stepowych, prawie dotąd pługiem nie tkniętych, przedstawiających żyzne pastwiska dla hodowli koni, bydła i owiec, co na te czasy najlepsze zapewniało gospodarzom zyski. Miałem tu obszerne pole do działania, szczególniej pociągała mnie hodowla owiec, jako ma specjalność i upodobane zajęcie. Zajęcie moje wymagało czujnego dozoru nad licznemi stadami rozwijającego się gospodarstwa, więc też mogę rzec śmiało, że pół mego życia tam zbiegła mi na wózku lub koniu, a nie rozstając się z ulubioną bronią na chwilę, miałem zawsze sposobność spotkania i upolowania częstego egzemplarzy, niekiedy bardzo cennych i rzadkich. Będąc przytem nienajgorszym preparatorem i zamiłowanym ornitologiem, przygotowałem sobie z miejscowej ludności chłopaka sprytnego „Karpuszę“, do preparowania skór, w czem doszedł do mistrzowskiej doskonałości, przytem był niezłym strzelcem i wiernie mi oddanym, o czem łaskawy czytelnik niżej przekonać się raczy. Nie brakło mi też w mej pracowni nigdy materjału, gdyż prócz własnej zdobyczy, miałem kilku strzelców w okolicy,

dostarczających mi rzadkie okazy. Przy obszernej hodowli trzód, o padło nie było trudno, więc też łatwość pożywienia ściągała z dalszych okolic zwierza i żarłoczne ptactwo. Wilk rok cały krążył w pobliżu owczych stad, latem z gór Krymu, Kaukazu i Karpat ściągały tu stada sępów, ścierwników, orły stale tu przebywały, niektóre ich odmiany tu się płodziły, sokół, raróg, kania i jastrząb były tu pospolite. Polowanie na wszelkich drapieżników dwu i czworonożnych stało się niemal mym celem i prócz przyjemności, dawało mi znaczne zyski z handlu z zygranicznemi muzeami.

Dość było pozostawić padłą sztukę bydlęcia lub owcy na ustronnem miejscu na czas krótki, aby ją za kilka godzin obsiadła zgłodniała zgraja żarłocznego ptactwa.

W ustronnym zakątku dalekiego stepu miałem przygotowaną jamę, z dogodnem siedzeniem i zamaskowaniem należytem. Tam wyciągałem padlinę i w dnie świąteczne, z wczesnego ranka, zasiadałem na czatach. Zwykle około 9-tej rano na jasnem, czystem błękicie nieba, zjawiał się ledwie dojrzany ciemny punkcik, za chwilę pokazał się drugi, trzeci, dziesiąty, liczba ich rosła z każdą sekundą, stawały się coraz wyrazistsze i większe. Zataczają wspaniałe kręgi coraz ciaśniejsze; mogę je już rozróżnić, ich wielkość, formy i odmiany, są czarne sępy mnichy (vultur monachus), są płowe sępy (gyps fulvus), są i ścierwniki, nie brak i orła. Z wciśniętemi między ramiona długiemi szyjami — podgiętemi pazurami, płyną wspaniale bez najmniejszego poruszeniu skrzydeł, zdradza je tylko szum lotu. Wtem, jak nagła burza, zaszumiało wokoło od setek ogromnych skrzydeł i kilkadziesiąt olbrzymich, brzydkich ptaków, opuściło się na ziemię w pewnej oddali od padła. Naliczam ich czterdzieści kilka sztuk. Gdy jedne siedzą spokojnie, inne ciekawie wyciągają swe gołe szyje i poziewają łakomie, inne znów przechadzają się, kołysząc niezgrabnie na swych krótkich nogach, obchodzą trupa zdaleka, przypatrując się mu ciekawie, żaden jednak nie śmie zbliżyć się pierwszy do niego. Po godzinnym dopiero namyśle jakiś śmiałek podlatuje, siada na grzbiecie padła i strasznem cięciem dzioba zadaje cios w martwe ślepie ścierwa. Na to hasło czekała tylko zgłodniała zgraja wstrętnych grabarzy. Z niemiłem, ostrem szypieniem, bijąc się i potrącając wzajemnie, obsiadają padło dokoła, rozpoczyna się wstrętna nad wyraz uczta. Gdy jedne walą ogromnemi dziobami, jakby młotami w łeb zwierzęcia, dobierając się do mózgów, inne wszędy rozpruwają kadłub, wyszarpując zeń wnętrzności, zanurzając w trzewia długie szyje, dławią się niemi obrzydliwie. Jakiś osobnik, unosząc kawał oderwanej kości w pazurze, odlatuje na stronę, lecz siedzący dotąd na boku orzeł berkut uderza w niego, rozpoczyna się krótka walka na dzioby, skrzydła i pazury, sypie się pierze, orzeł zwycięża, unosi kęs odbity — sęp zaś wraca do trupa po nowy. Po godzinie pozostaje na placu obdarty szkielet czerwony, syte ptaki z wyładowanemi żołądkami, ponure, plugawe, zmazane krwią i posoką, leniwo odchodzą w stronę i spokojnemu oddają się trawieniu, dławiąc się jesze niekiedy i przewracając ślepiami. Mam i ja dość tego widoku, wybieram najprzedniejszego i palę, a gdy się zrywają, posyłam innemu drugi nabój. Drgnęło ciche powietrze od gwałtownego poruszenia setek ogromnych skrzydeł i z szumem uniosła się chmura grabarzy, zniknęła w przestworzu, pozostawiwszy dwie najwspanialsze sztuki martwe. Sępy mnich i płowy, mierzące do 4 metrów w rozpięciu skrzydeł każdy, stają się mą zdobyczą.

W pewien znojny dzień lipcowy, gdy słońce zdawało się rzucać ogień na rozpaloną ziemię, powracałem konno na objad do domu. Wyjeżdżając z głębokiego jaru, wpadłem na 7 sztuk siedzących na pagórku sępów. Były tak blisko, że zdążyłem pochwycić francottę i strzelić do zrywających się. Spadł mnich z przełamanem skrzydłem. Łatwiej mi go było trafić, niż wziąć do ręki. Za każdem mem zbliżeniem się do niego, wymierzał mi, lub koniowi tak ostre cięcia, że dostąpić nie było możliwem. Pozostawiłem go w pustem polu, wiedząc, że ujść daleko nie może i po obiedzie posłałem Karpuszę, który po wielu mozołach opanował go i przyniósł jeszcze żywego.

Wypadkowo natrafiłem na noclegi sępie w sąsiednich laskach. Obierają one ustronne, samotne, bezlistne dęby, na spadzistych pagórkach, nad jarami, lub nad obrywami stojące. Tam z bardzo wczesnego wieczora, bo jeszcze przed zachodem słońca zasiadają całemi kolonjami, gęsto koło siebie (czego orły nigdy nie robią). Chciałem zażyć podobnego polowania i w pierwszą noc bezksiężycową, w czasie iście egipskich ciemności, wybrałem się z Karpem

---

GUY DE MAUPASSANT

MIŁOŚĆ.

. Przeczytałem właśnie w dzienniku, w rubryce „rozmaitości“, wzmiankę o dramacie miłośnym. „On“ zabił „ją“, potem zabił siebie, a więc ją kochał. Cóż mnie obchodzi On i Ona? Tylko ich miłość mnie obchodzi — i to nie dlatego, że może być dla mnie źródłem wzruszenia lub podziwu, wstrząśnienia nerwów lub rozmyślań, ale poprostu, że budzi we mnie wspomnienie młodości, dziwne wspomnienie polowania, podczas którego objawiła mi się Miłość, podobnie, jzk pierwszym chrześcijanom ukazywał się krzyż na niebie.

Urodziłem się ze wszystkimi instynktami i popędami człowieka pierwotnego, złagodzonego przez rozumowanie i wzruszenia, jakie daje cywilizacja. Polowanie lubię namiętnie — i okrwawione zwierzę, krew na piórach, krew na mych rękach ściska mi serce aż do utraty tchu.

Owego roku, pod koniec jesieni, nastąpiły raptowne zimna. Otrzymałem zaproszenie od jednego z moich kuzynów, Karola de Banville, na polowanie. Polować mieliśmy na kaczki, wśród moczarów, o świcie.

Kuzyn mój, chłopisko lat czterdziestu, rudy, bardzo tęgi i brodaty, typ hreczkosieja, miłe pół-bydlątko, o usposobieniu wesołem, pełen czysto gallickiego humoru, który może uprzyjemnić nawet przeciętność, zamieszkiwał siedzibę pośrednią między dworkiem a pałacem, w rozległej dolinie rzeki. Na prawo i na lewo stoki pokryte były lasami, staremi, wielkopańskiemi lasami, w których znaleść mogłeś jeszcze wspaniałe drzewa i gatunki ptactwa najrzadsze w tym zakątku Francji. Niejednokrotnie zdarzało się tu zabijać orły; a ptaki przelotne, które unikają miejsc zaludnionych, popasały bez zawodu wśród konarów odwiecznych, jakgdyby poznały zakątek leśny, pozostały z dawnych czasów, aby im służyć za przytułek na krótkim, nocnym postoju.

Zrazu w dolinie ciągnęły się wielkie łąki, nawodnione zapomocą rowów i pocięte płotami; dalej rzeka, dotąd uregulowana, rozlewa się szerokim moczarem. Ten moczar, najwspanialszy teren polowania, jaki w życiu widziałem, był przedmiotem szczególnej troski mego kuzyna, który utrzymywał go jak park. Skróś olbrzymi las trzcin, które go czyniły żywym, szumiącym, rozkołysanym; wycięto wąskie aleje, którędy sunęły płaskie barki, popychane i kierowane żerdziami, nieme na wodzie umarłej, muskając sitowie, płosząc ryby, chybko uciekające wśród traw — i kurki wodne, których czarne i śpiczaste łebki nurkowały raptownie.

Kocham wodę namiętnie, aż do rozpasania; kocham morze, choć jest za wielkie, zbyt ruchliwe, żeby je można posiąść, kocham rzekę, która przechodzi, ucieka, mija, a szczególnie moczary, gdzie pulsuje nieznane istnienie wodnych bestji. Moczary, to cały świat, świat odrębny na ziemi, który ma swoje własne życie, swoich stałych mieszkańców i swych przechodniów, swoje głosy, szmery, a nade-

na podchodnego. Po uciążliwym marszu pod górę, padnień, czołgania i wywracania w kamieniste doły, udaje nam się podejść, a raczej podpełznąć do lasków. Dalsza droga staje nam się tu prawie niemożliwą, natrafiamy ciągle na oślizłe kałem ptaków miejsca cuchnące, lecz raz powziętego zamiaru odstąpić nie chciałem. Wreszcie znaleźliśmy się pod najbliższym dębem. Na suchych krzakach siedzi cała kupa czarnych cieni, lecz nie jestem pewny, czy to stare gniazda, czy też ptaki, lecz na rozmyślania czasu nie było. Równocześnie z chłopcem podnieśliśmy się na kolana i palnęliśmy do prostopadle nad nami siedzącej kupy. Posypały się suche gałęzie na nasze głowy, ciepła, gęsta ciecz wilgotna spadła nam na ręce i twarze, istna burza szumiąca zawirowała nad nami i coś ciężkiego spadło na ziemię. Karpo zaświecił łuczywo, przy świetle którego ujrzeliśmy stojącego olbrzymiego sępa, w pozycji do boju gotowej. Obok leżał z rozpostartemi skrzydłami mnich wspaniały. Nie chciałzm psuć wspaniałej skóry ptaka powtórnym strzałem, więc Karpo zarzucił mu swą świtę na łeb, lecz otrzymał mimo to bolesne cięcie w goleń, od którego dość długo się leczył. Mimo powodzenia, więcej nie próbowałem szczęścia, odstraszyła mnie plugawość podobnej wyprawy.

Miałem przez pięć miesięcy w klatce starego sępa, złapanego przez polowego-objeszczyka, przy padle chwilowo udławionego. Ptak ten, najbardziej wygłodniały, bo skazywałem go niekiedy na 3—4-dniowe posty, nie rzucał się na podaną żyjącą ofiarę, a wyczekiwał cierpliwie jej śmierci. Na podaną karmę nie rzucał się też zaraz, lecz wpierw obserwował ją długo, poczem brał w pazury, osłaniał skrzydłami i rozpoczynał ucztę od cięcia w głowę, wyjadania ócz, języka i mózgu. Zawsze ponury, ospały, napozór spokojny, podrażniony wymierzał szybkie cięcia w podawany mu przedmiot. Żył w zgodzie z parą orląt w jednej klatce (altanie) żyjących. Zdechł w czasie mrozów, wstrętny swem żarłoctwem i niechlujstwem cuchnącem strasznie.

ORŁY.

Przy tej obfitości orłów, jaką miałem w tej okolicy rok cały, nie powinno zadziwić łaskawego czytelnika ta ilość mej zdobyczy, o jakiej niżej wspomnę, tem więcej, gdy orle łowy od pewnego czasu stały się mą pasją i zaciekłością, a poniekąd dumą, gdy z powodu upolowania i przesłania kilkunastu egzemplarzy do niemieckich muzeów, otrzymałem w 1900 r. w ornitologicznem żurnalu „Naturalien Cabinet“ miano „króla orłów“ (Adlerkönig). Na miano to poniekąd zasługiwałem, przeciętnie bijąc rocznie do 40—50 sztuk tych wspaniałych ptaków (orłów i sępów), w czem niewielu mi dorównać mogło. Rezultaty polowań na orły były pomieszczone w swym czasie w naszem sympatycznem piśmie „Łowca Polskiego“.

Orzeł w gołych stepach południowej Rosji jest zbyt czujnym i ostrożnym ptakiem, aby przy swym bystrym wzroku dał się upolować z podchodu lub z podjazdu, a jeżeli to i zdarza się niekiedy, zaliczyć można do bardzo rzadkich wyjątków. Największe rezultaty osiągałem w porze zimowej, w czasie wielkich mrozów i silnych, burzliwych śnieżyc i huraganów, jakie szczególniej nawiedzały Chersońszczyznę w końcu zimy, w połowie lutego i nierzadko dni kilka z rzędu trwające. W takie dnie wszelki zwierz z dalekich stepów i przelotne ptactwo ściąga chętnie w zadrzewione doliny, nawet w bliskości osad ludzkich będące, gdzie trochę zacisza i łatwiejszego pożywienia znaleść może. Prócz niektórych odmian orłów i orlików, całą zimę tu stale przebywających w stepach, w lutym zaczynały się wiosenne ciągi na północ tych rabusiów, których śnieżyca i niepogody zatrzymywały tu często na czas dłuższy. Znając zwyczaje tego ptactwa, z niecierpliwością wyczekiwałem nadejścia tej pożądanej pory i nie było siły, któraby mogła mnie zatrzymać wtedy w domu bezczynnie. Otóż w jeden z takich dni, gdzie — jak to mówią — i psa z domu trudno wypędzić, wyszedłem do przyległej do parku lewady (zadrzewione łąki), ciągnącej się kilka kilometrów nad porzeczem Tiligutu i w wielu miejscach zadrzewionej topolą, osiką i omszałą wierzbą. Wicher wschodni niósł tumany śnieżnej kurzawy, dął mi z całej siły w plecy, wył, huczał, giął wierzchołki drzew do ziemi, szamotał i rwał gałęziami, łamał je i rzucał z wściekłością. Niekiedy robiło się tak ciemno, że zaledwie o kilka kroków rozpoznać było można. Doczłapawszy się do ustronnej większej kępy drzew, stałem czas dłuższy pod grubym pniem osiki ukryty,

---

wszystko, swoją tajemnicę. Niema nic bardziej niepokojącego, zatrważającego, przeraźliwego nieraz, jak trzęsawisko.

Skąd ta trwoga, która wisi nad nizinami, pokrytemi wodą? Czy to szepty nieuchwytne trzcin, czy błędne ogniki, czy głębokie milczenie, które otula je w ciche noce, czy dziwaczne opary, wlokące się po szuwarach, jak szaty umarłych, a może ten nieuchwytny plusk, tak lekki, tak łagodny, a jednak bardziej wstrząsający, niż wystrzał armatni, lub piorun z nieba, czynią z moczarów krainę marzenia, jedną z tych krain niebezpiecznych, które ukrywają niezbadaną i groźną tajemnicę.

Nie! Coś innego wyłania się z nich, inna, ważniejsza, głębsza zagadka unosi się ponad niemi w gęstych mgłach, może tajemnica samego stworzenia! Bo czyż nie z wody stojącej i błotnistej, nie z ciężkiej wilgotności mokrej ziemi pod ciepłem słońca poruszyła się, zawibrowała, rozwarła się na dzień biały pierwsza zaródź życia?

* * *

Do kuzyna przyjechałem wieczorem. Był mróz trzaskający.

Podczas objadu, w wielkiej sali, której kredensy, ściany, nawet sufit, pokrywały wypchane ptaki o skrzydłach rozpostartych, lub usadowione na gałęziach, przygwożdżonych do muru, krogulce, czaple, sowy, myszołowy, sępy, puhacze, jastrzębie, sokoły, mój kuzyn podobny do dziwacznego zwierzęcia krajów polarnych w kurcie z foki, opowiadał mi o dyspozycjach, wydanych na zbliżającą się noc.

Mieliśmy wyruszyć o wpół do czwartej na oznaczone stanowisko. Wybudowano tam z kawałów lodu chatkę, która miała nas ochronić choć trochę od wiatru, dmącego zawsze przed świtem, od wiatru, które szarpie ciało jak piła, tnie je na kształt klingi, kłuje zatrutemi igłami, rozrywa kleszczami i pali ogniem.

Kuzyn mój zacierał ręce: „Nie pamiętam takiego mrozu, mówił, już mamy dwanaście stopni poniżej zera, a jest dopiero szósta wieczorem“.

Zaledwie rzuciłem się na łóżko po posiłku, usnąłem natychmiast w blasku wielkiego ognia, płonącego na kominie.

Zbudzono mnie, gdy wybiła trzecia. Teraz ja wdziałem baranią, podczas gdy Karol utonął w szubie niedźwiedziej. Po przełknięciu dwóch filiżanek wrzącej kawy, oraz po dwóch szklankach doskonałego szampana na głowę, wyruszyliśmy w towarzystwie leśnika i dwóch psów: Nurka i Pierrota.

Po wyjściu na dwór odrazu poczułem się zmrożony aż do szpiku kości. Była to jedna z tych nocy, kiedy ziemia wydaje się poprostu umarłą z zimna. Mroźne powietrze stawia opór, staje się namacalnie bolesnem i najmniejszy podmuch go nie porusza; jest zastygłe i nieruchome, kąsa, przenika, zabija drzewa, rośliny, owady, nawet drobne ptaszki spadają z gałęzi na ziemię i kostnieją, jak ona, pod uściskiem mrozu.

Księżyc w ostatniej kwadrze, pochylony na bok, blady, zdawał się omdlewać w przestrzeni, tak słaby, że nie mógł już odejść i trwał na wysokościach, obezwładniony srogością

śledząc wzrokiem dokoła, gdy z ciemnej chmury nademną wyłonił się orzeł, przepłynął ponad głową, okrążył lasek i na sztych prosto zmierzał na drzewo, pod którym stałem zasypany śniegiem. Miałem go na 40 kroków przed sobą i posłana kulka z francotty $6^m/_m$ przebiła mu pierś — spadł bez życia. Zawiesiłem mego łamignata (heliaceus albiccilla) — (orłan-rybołów) *) na sęku krzaku i posunąłem się o kilkadziesiąt sążni ku wysokim osikom. Niedługo ukazał się znów ptak krążący nad doliną i po chwili siadł na sęku wysokiego drzewa, zwrócony tyłem ku mnie, co mi dało możność zbliżenia się do niego na pewną odległość. Siedział niespokojnie, strząsał śnieg z siebie, zwracając niekiedy głowę w mą stronę. Strzeliłem — ptak ani drgnął, wicher stłumił huk wystrzału, chybiłem! Nabiłem powtórnie i strzeliłem raz drugi. Zachwiał się, przeleciał na niższą gałęź lecz nie mogąc się na niej utrzymać zwiesił głowę w dół. Długo nim wiatr kołysał, długo przemyśliwałem co z nim zrobić, gdy wreszcie spadł. W czasie tym przeleciał jeszcze inny rabuś, lecz minął lasek i znikł mi w tumanie.

Już ciemnieć zaczynało, gdy z mą zdobyczą dochodziłem do wrót podwórza, gdzie zastałem oczekującego mnie Karpa, z wieścią o siedzących tuż za folwarkiem w parku, orłach. Na strzał kulą było już za ciemno, posłałem po dubeltówkę, a gdy ją przyniesiono, poszliśmy z K. na wskazane miejsce. Nisko nad ziemią, wbrew zwyczajom, siedział orzeł, nad nim wyżej drugi. Strzeliłem do wzlatującego i szelest gałęzi upewnił mnie o spadającym ptaku, który przy zbliżeniu się, zanim go dojrzeć mogłem, podjął się i uleciał daleko. Nazajutrz odnaleźliśmy go jeszcze żywego, lecz tak osłabłego, że pozwolił się wziąć nam bez oporu.

Tegoż dnia przybiegł konny posłaniec od leśnika z zawiadomieniem o masowem nalocie orłów do lasków Mastosowskich. Jakkolwiek znałem przesadność podobnych doniesień, zawziętość moja wzięła górę nad rozsądkiem i po godzinie, nie zważając na zawierzuchę, byłem już w lesie. Dojeżdżając już, zauważyłem kołującego nad zaroślami ptaka. Pozostawiwszy Karpa z leśnikem w niższej części lasków, sam przeciąłem ich środek, stojące na miejscu, skąd obserwować i obstrzeiiwać mogłem cały przesmyk, łączący dwie części boru i sobą. Ostry świst naganiaczy oznajmił mi o ruszonym orle, jakoteż niebawem nad wierzchołkami drzew ukazał się ciemny ptak i siadł na samotnym dębie, zdala odemnie. Zapatrzony w niego, nie zauważyłem, jak inny nadleciał nademnie z przeciwnej strony i siadł na wierzchołku mego dębu i gdy tylko za nadejściem ludzi się zerwał, mogłem strzelić i zabić śmiałka. Był to królewski ptak, z białą plamą na grzbiecie. Po półgodzinnem ogrzaniu się w chacie pobereżnika, stanąłem pod tymsamym dębem, kazawszy chłopcu zejść z górnej części lasków. Pokazały się dwa królewskie ptaki nad zaroślami i opuściły się na gałąź obok siebie. Pod osłoną gęstej okiści śnieżnej niskopiennych krzewów, udaje mi się podejść ptaki na dogodny strzał i wypalić. Spadł jeden, drugi wysoko wzbił się w powietrze. Brałem na cel pierwszego, spadł za nim siedzący. Strzał ten nie zrobił mi satysfakcji, był jakiś przypadkowy i zepsuł mi głowę pięknego imperjalisa.

Powracając do domu, tuż pod laskiem, na kurhanie, siedział orzeł; na nasz widok ciężko się zerwał i po krótkim przelocie siadł na śniegu, nerwowo wstrząsając się i nastroszając chorobliwie pióra. Po długiem okrążaniu, kilkakrotnem spędzaniu i dwukrotnym strzale, udało mi się go dostać. Był on ciężko ranny od mego strzału w lesie, od którego padł jego tywarzysz.

Rezultat dwudniowego polowania osiągnąłem nadzwyczajny: miałem 6 orłów zabitych. C. d. n.

*) Recte: birkut bielik (Red.)



nieba. Nad światem rozlewał światło oschłe i smutne, ten sam blask umierający i trupi, jaki rzuca nam co miesiąc, na schyłku swego zmartwychwstania.

Szliśmy razem z Karolem, pochyleni, z rękami w kieszeniach, z bronią pod pachą. Obuwie nasze, owinięte wełną, aby uniknąć ślizgawicy po zmarzniętej rzece, nie sprawiało najmniejszego szelestu; patrzałem, jak oddechy psów zmieniały się w obłoki dymu.

Wkrótce dotarliśmy do skraju błót i zagłębiliśmy się w jedną aleję suchych trzcin, ciągnącą się wskróś tego niskopiennego lasu.

Długie wstęgi liści, muskane w przejściu naszymi łokciami, podążały za nami lekkim szelestem. Nagle zostałem ogarnięty, jak nigdy dotąd, tem wzruszeniem szczególnem i potężnem, jakie wzbudzają we mnie zawsze moczary. Te były naprawdę umarłe z zimna; kroczyliśmy po nich, wśród rzesz wyschłego sitowia.

Nagle, na skręcie alei, dostrzegłem chatkę lodową, zbudowaną jako schronienie dla nas. Wszedłem do wnętrza, a ponieważ mieliśmy jeszcze godzinę czekać na przebudzenie wędrownych ptaków, owinąłem się kocem, usiłując się rozgrzać.

Wówczas, leżąc na znak, jąłem wpatrywać się w zniekształcony księżyc, który, załamując się w pół przejrzystych ścianach polarnego domku, miał, zamiast dwóch, aż cztery rogi.

Ale zimno zamarzniętego trzęsawiska, zimno ścian lodowych, zimno, spływające z firmamentu, przejęło mnie do tego stopnia, że zacząłem kaszlać.

Zaniepokoiło to Karola.

— Mniejsza z tem, że nie upolujemy dziś niczego, rzekł, nie chcę, żebyś się zaziębił: rozpalimy ogień.

I wydał leśnikowi rozkaz cięcia trzcin

Zrobiono z nich stos pośrodku chatki, której wierzchołek przebito w celu wypuszczenia dymu; i kiedy czerwony płomień wspiął się wzdłuż jasnej zasieki z kryształu, zaczęła ona topnieć wolno, niedostrzegalnie, jakby bryły lodu pokryty się kropelkami potu. Karol, który pozostał na dworze, zawołał: — Chodź zobaczyć!

Wyszedłem i stanąłem jak wryty z podziwu. Nasza chatka, w formie stożka, wyglądała jak olbrzymi djament z sercem ognistem, rozkwitłem nagle na zamarłych wodach trzęsawiska. A wewnątrz dwie fantastyczne postacie: grzejące się psy.

Nagle krzyk dziwny, zabłąkany, zatracony, przeleciał nad naszemi głowami. Blask ogniska obudził dzikie ptactwo. Nic tak na mnie nie działa, jak to pierwsze hasło życia, którego jeszcze nie widać i które mknie w mrocznem powietrzu tak szybko, tak daieko, zanim na widnokręgu ukaże się pierwsze światło dnia zimowego. Zdaje mi się zawsze o tej godzinie brzasku, że ten krzyk przelotny unoszony na skrzydłach ptaka, jest westchniem duszy świata całego!

Karol rzekł:

— Zgaście ogień! Już świta,

Istotnie, niebo zaczęło blednąć i stada kaczek rozwlokły po niem długie plamy ruchome, szybko zacierające się na firmamencie.

IV Poznańska Wystawa Myśliwska.

W sobotę, dnia 23. czerwca, o godzinie 11-tej, wojewoda poznański, hr. Bniński, w obecności reprezentantów Władz państwowych i miejskich i licznych, zaproszonych gości, otworzył pierwszą w wolnej Polsce wystawę rolniczo-przemysłową. Z chwilą przecięcia wstęgi, odezwały się syreny parowe, orkiestra zagrała hymn narodowy, a tysiąc pocztowych gołębi wojskowych, uwolnionych z klatek, rozniosło radosną wieść o dokonaniu wielkiego, pokojowego dzieła.

W godzinę potem w wielkim pawilonie odbyła się druga uroczystość otworzenia IV wystawy łowieckiej, która już specjalnie nas zajmować będzie.

Młody, bo zaledwie rok życia posiadający Oddział Poznański „Polskiego Związku Myśliwych“, zdobył się na czyn, do którego urzeczywistnienia potrzeba było w danych warunkach nietylko chęci dobrej, ale i energji.

W przemówieniu swojem, przy otwarciu wystawy, dał też prezes Oddziału, p. pułkownik Chłapowski, wyraz temu i określił trudności, jakie napotkać i jakie przełamać należało, a jeżeli wystawa nie okazuje tego, co Wielkopolska w trofeach posiada i okazaćby mogła przy tak dawnej kulturze łowieckiej, wina to okoliczności, nie sprzyjających stosunkom powojennym. Wszakże złemu należało dać hamulec i zrobić początek dla okazania, czem łowiectwo dla nas być powinno i przypomnieć chociaż tą skromną wystawą, iż jest ono nietylko jedną z gałęzi ekonomicznych, ale jednocześnie i kulturalnych naszego kraju.

W podobnych słowach wyraził się i generał dowódca dywizji K. Raszewski. Rozcinając zieloną wstegę, w gorących słowach zachęcał do pielęgnowania dalszego, przez ojców naszych pozostawionych nam tradycyj łowieckich, przez pielęgnowanie prawidłowego łowiectwa, przez przystępywanie do Polskiego Związku Myśliwych. Podniósł też przytem zasługi Wielkiego Łowczego p. Wł. Janty Połczyńskiego i Wojewody D-ra Ciechulskiego, którzy, zakładając Polski Związek Myśliwych, do urządzenia dzisiejszej wystawy się przyczynili. I przyznać trzeba, iż Oddział Poznański zdziałał oczywiście, co w danych okolicznościach zdziałać było można. Zarząd wystawy oddał na eksponaty 5 niewielkich pokoi, bezpośrednio z szopą inwentarza połączonych. Odgrodzeniem, umajeniem i przystrojeniem w girlandy i emblematy myśliwskie, skonstruowano przybytek, który przez gustowne rozwieszenie i ugrupowanie tak pojedyńczych trofeów, jak i całych kolekcji zadawala i estetyczne wymagania.

Ale IV wystawa poznańska umieszczona w 5 pokojach, nie może okazać, zwłaszcza, jeżeli weźmiemy pod uwagę okres dziesięcioletni, co Polska w trofeach rzeczywiście posiada. Zbiory p. p. Ostroróg Gorzeńskiego, Łąckiego i Kurnatowskich, zapełnićby mogły po pięć pokoi wystawy. A wieleż kolekcyj pomniejszych, nawet z samego Poznania, świeci na wystawie nieobecnością. Nie przesadzam, jeśli powiem, że gdyby wszystkie zbiory z b. zaboru pruskiego zgromadzić można na wystawie, zapełniłyby one cały ten gmach, w którym obecnie kilkaset sztuk żywego inwentarza pomieszczono.

Brak pomieszczenia i niedostateczne bezpieczeństwo przy transporcie i w miejscu samym przez wielkopolskich myśliwych wysoko cenionych trofeów, zredukowały wystawę do tak skromnych rozmiarów.

Ogólna ilość eksponatów jest następująca:

Wieńców jeleni 27, rosoch danieli 9, parostków kozłów 249. Głów dzików 5, szabli dzików 8 par, żubr (głowa), wilk (głowa), żbik (futro), drop, głuszce 3, cietrzew i 24 rozmaitych pomniejszych ptaków krajowych. Nadto znaczna ilość wachlarzy i lir głuszców i cietrzewi.

Oto znaczniejsze premjowane i wymienienia godne trofea.

P. Marceli hr. Żółtowski otrzymał medal srebrny za czternastaka i bronzowy za kolekcję wieńców jeleni, zabitych przez synów i gości w Godurowie.

P. Jarochowski z Poznania 4 pary wieńców, w tem dwa, zdaje się, karpackie i starszych roczników, niestarannie odciętych.

Jedną salkę zajęły trofea Ordynata hr. I. Skorzewskiego z Czerniejewa, z kolekcją 9 wieńców, w tem rzadko piękny dwunastak (medal srebrny), z kolekcją 24 parostków (medal srebrny), w srebro oprawnych 8 par szabli, żbik,

---

Błyskawica rozdarła noc, Karol wypalił, psy rzuciły się za strzałem.

Odtąd, co chwila, to on, to ja, braliśmy na cel łup skrzydlaty, skoro tylko jego cień ukazał się nad sitowiem. Nurek i Pierrot, zziajane i radosne psy, przynosiły nam krwawiące zwierzęta, nieraz spoglądające na nas jeszcze żywem okiem.

Rozwidniło się, dzień nastał jasny i błękitny, słońce ukazało się w głębi doliny. Myśleliśmy już o powrocie, gdy nagle dwa ptaki z wyprężoną szyją i rozpostartemi skrzydłami przemknęły nam nad głową. Strzeliłem. Jeden z nich padł prawie u mych stóp. Była to cyranka, o piersi srebrzystej. Wówczas w przestrzeni nademną rozległ się głos, głos ptaka. Była to skarga krótka, ponawiana, rozdzierająca. Ptak, który ocalał, zaczął krążyć w błękicie nad nami, patrząc na towarzyszkę nieżywą, którą trzymałem w ręku.

Karol, klęcząc, ze strzelbą na ramieniu, śledził ją okiem płonącem, czekając, aż się zbliży dostatecznie.

— Zabiłeś samicę — rzekł — samiec nie odejdzie.

Istotnie, nie odchodził, kołował ciągle i łkał wokół nas. Żaden jęk boleści nie rozdarł mi serca tak, jak to wołanie rozpaczliwe, jak ten wyrzut lamentujący biednego stworzenia, zagubionego w przestrzeni.

Niekiedy ptak uciekał pod grozą strzelby, która dążyła za jego lotem; zdawał się gotowy do dalszej, już samotnej drogi, skróś niebiosa. Ale nie mógł się zdecydować i wracał szukać samiczki.

— Połóż ją na ziemi, rzekł mi Karol, a zbliży się natychmiast.

Rzeczywiście, zbliżył się, nieświadom niebezpieczeństwa, oszalały z miłości zwierzęcia, które zabiłem przed chwilą.

Karol strzelił. Stało się, jakby ktoś przeciął sznur, na którym ptak zawisł w powietrzu. Ujrzałem jakąś rzecz czarną, która spadała; usłyszałem w trzcinach szelest upadającego ciała. Przyniósł mi je Pierrot.

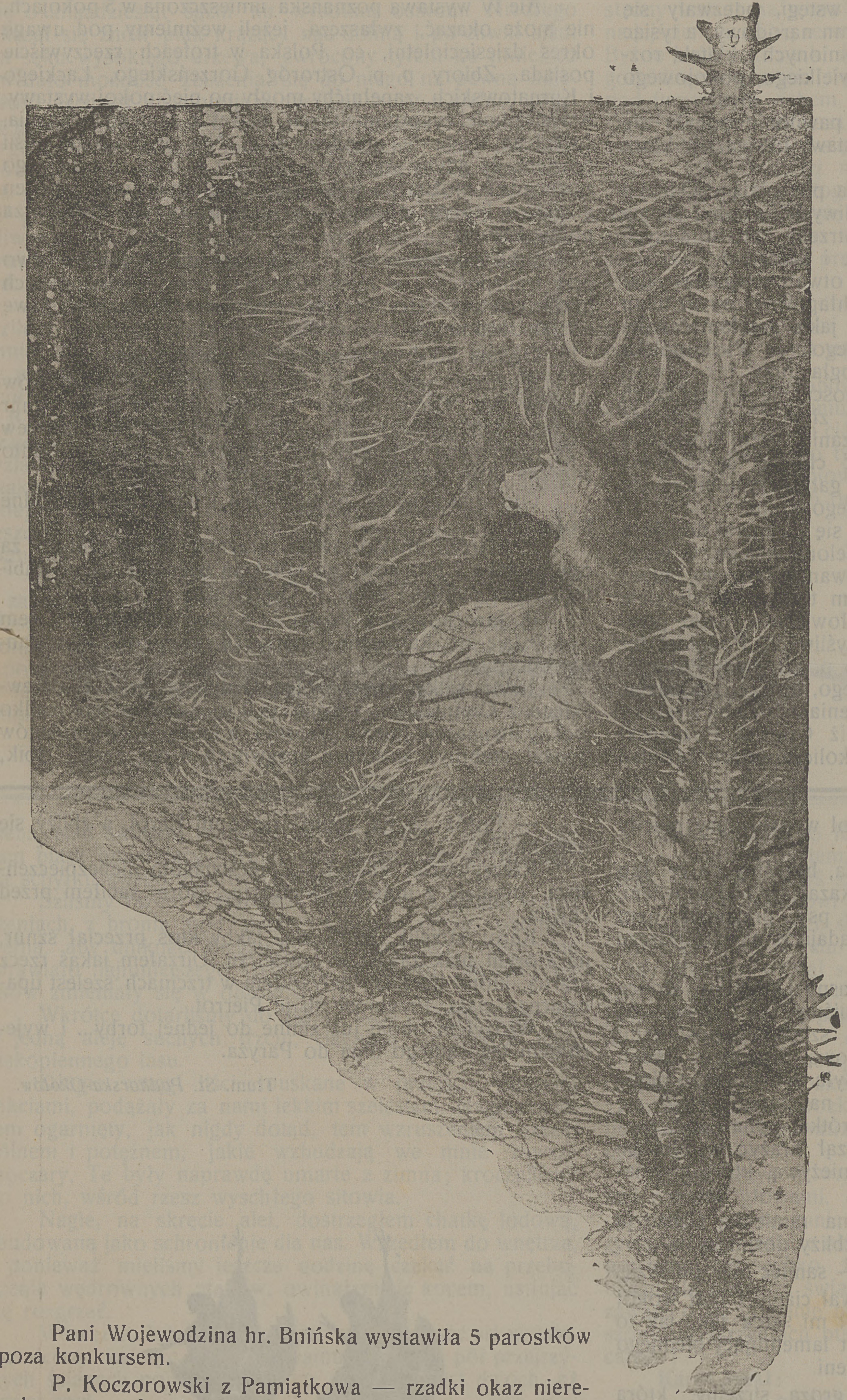
Włożyłem oboje już zimne do jednej torby... i wyjechałem tegosamego dnia do Paryża.

Tłum. *St. Podhorska-Okołów.*



wilk i liczne pomniejsze okazy, wszystko starannie preparowane.

Znane łowisko hr. Mielżyńskiego, zajęło całą ścianę pokoju trzeciego, ono dostarczyło też najpiękniejszą kolekcję rosoch (medal srebrny), 2 kolekcje parostków; dwa niezwykle silne, pięknie uperlone, osiągnęły również dwa srebrne medale.



Pani Wojewodzina hr. Bnińska wystawiła 5 parostków poza konkursem.

P. Koczorowski z Pamiątkowa — rzadki okaz nieregularnego, z dwudziestu sześciu kończynami jelenia. Jest ono tyle wielką osobliwością, iż okazuje, jak uszkodzenie w czasie mchu jednej odnogi, działa na wykształcenie się drugiej.

P. Zbigniew hr. Ostroróg Gorzeński z Tarc, jeden z najlepszych hodowców wielkopolskich, dwie pary parostków, godnych prawdziwie tego niezrównanego myśliwego. Niepremjowanie obydwóch tych wystawców, wskazuje, jak przypuścić tylko można, iż wystawili zdobycze swoje poza konkursem.

P. Brodowski z Psar, za kolekcję 24 parostków, — medal srebrny.

P. Wichrowski z Poznania, wystawił głowę dzika, również premiowaną.

Z nadleśniczych państwowych stanęło dwóch do konkursu: p. p. T. Metzig, znany hodowca i pisarz myśliwski i S. Woszczyński z Podanina, obydwaj osiągnęli za wieńce i parostki, po dwa srebrne medale. Ostatni, za porostki znanego czytelnikom „Łowiectwa Polskiego", Sara Piastowskiego.

Trzy kolekcje parostków p. p. Br. Sobeskiego, Gozimierskiego i Kalksteina, nagrodzone zostały bronzowemi medalami.

P. Lossów z Gryżyny, dwa medale bronzowe, za 12 parostków i dwa wieńce.

P. hr. K. Bniński z Dobczyna za kolekcję parostków medal bronzowy, a za dzika medal srebrny.

P. Pętkowski z Kuśnierza za 20par parostków medal srebrny. Jedyny na wystawie reprezentowany Niemiec pan Ordynat Witzleben z Liszkowa, za kolekcję z 9 bajecznych kapitalnych parostków, słusznie zupełnie nagrodzony został srebrnym medalem.

Generał korpusu p. K. Raszewski wystawił 6 parostków, z których trzy osiągnęły dwa bronzowe, a jeden sr. medal.

P. pułkownik K. Chłapowski z Mościejewa, przysłał 5 wieńców, w tem czternastaka (medal srebrny) i cztery parostki (medal bronzowy). W zdobyczach pana pułkownika znajdują się trofea z Białowieskiej puszczy, zdobyte w czasie od 1. września do 5. grudnia 1915 r., dwa rosochy, 1 dzik i głowa żubra (!), oznaczona medalem srebrnym.

Pan Zbigniew Cichowicz z Jabłkowa 4 rosochy danieli (medal srebrny) i kolekcję parostków.

W piątym i ostatnim pokoju kończy szereg wystawców znany czytelnikom ornitolog p. Franciszek Unrug, który w „Roku hodowcy myśliwego" opisuje wszystkie ptaki, które w dermoplastycznych okazach na wystawie umieścił.

Kuropatwy.

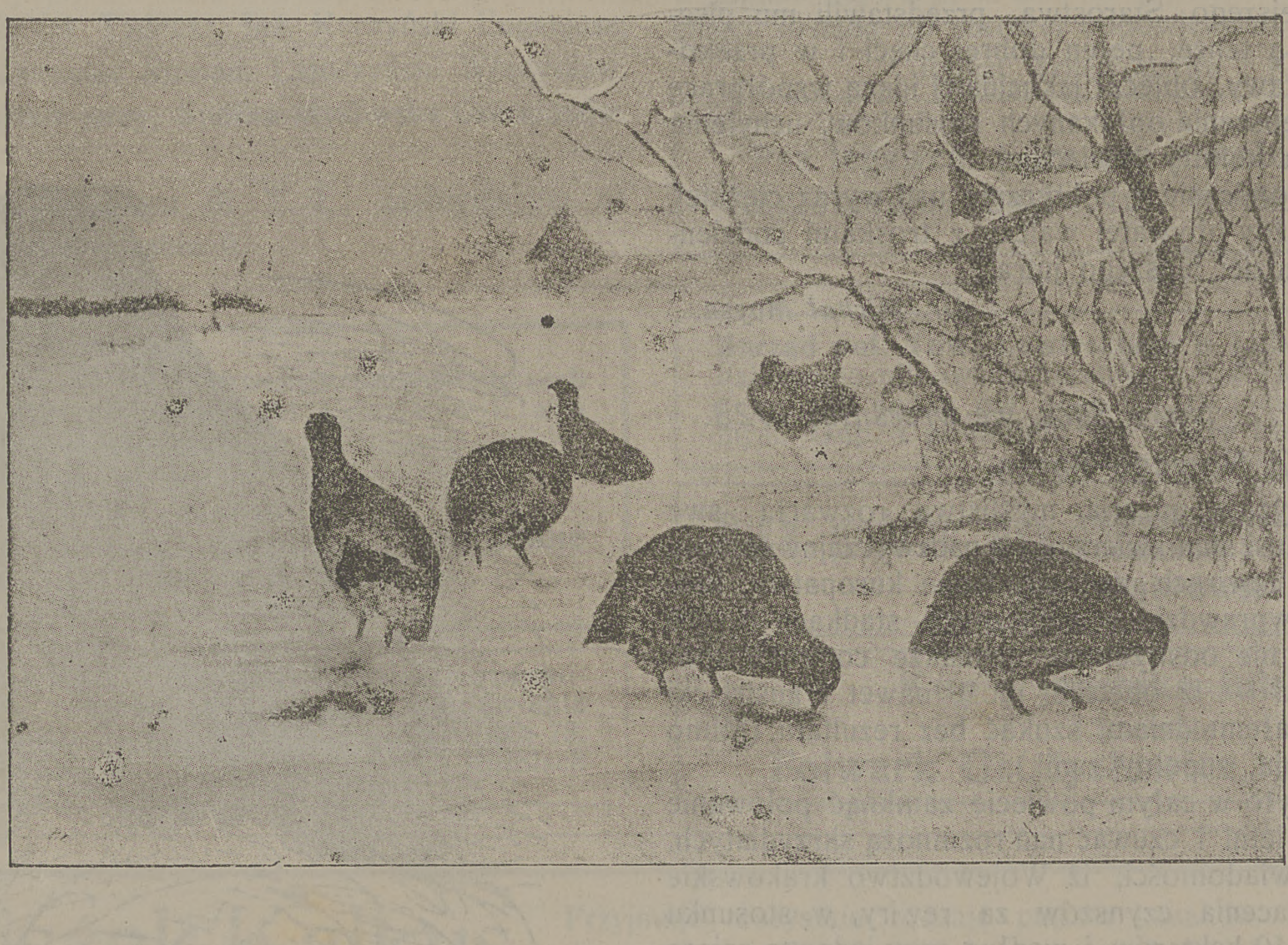
Na zoranych polach, pod głogowym krzakiem,
osiadł raz na zimę kuropatwi ludek,
a znalazszy zacisza przed wichury szlakiem
i nieco pożywienia pośród czarnych grudek

ziemi, co go kryła swą barwą i cieniem,
żył sobie bez troski... Młódź uczyli starzy,
jak szukać pożywienia, jak igrać z promieniem
słońca i jak uciekać, gdy się wróg nadarzy.

Naraz spadł śnieg obfity. Gdy wylękłe ptaki
zbiegły się u stóp głogu, widne wszystkim zdala,
zoczył je srogi jastrząb... Rzucił górne szlaki,

lot zniżył i uderzył. Wnet w szponach szakala
ptasiego rodu zadrgało ciało ptaszyny
i żyć przestało z łowca niedbałego winy.

Rzeszów, we wrześniu, 1923. **Władysław Gürtler.**



Korespondencje.

Rudniki, w lipcu, 1923.

Członkowie M. T. Ł. powiatu śniatyńskiego, zebrani dnia 12. lipca, wybrali delegatami: Zdzisława Czajkowskiego, Dr. Michała Moysę-Rosochackiego, Dr. Kazimierza Agopsowicza i podpułkownika Józefa Jaruzelskiego.

Wymienieni delegaci ukonstytuowali się, wybierając przewodniczącym Dr. Michała Moysę-Rosochackiego, dając słowami pełnemi serca wyraz uznania dla jego dotychczasowej działalności na polu podniesienia kultury łowieckiej tutejszego powiatu.

Przewodniczący podziękowawszy za wybór, zaznaczył, że uważa te słowa jako podnietę do dalszej pracy w tym kierunku i wyraził nadzieję, że wspólna praca wszystkich towarzyszy, choć ciężka i pełna przeszkód przy współdziałaniu i inicjatywie wszystkich odnośnych Władz, poprawi przez wojnę tak zniszczony zwierzostan tutejszego powiatu.

Przewodniczący skreślił stosunki łowieckie tutejszego powiatu, a później dał obraz obecnej polityki łowieckiej.

Zebrani uchwalili zaproponować Starostwu, ze względu na zupełnie dewastującą gospodarkę łowiecką i nieuregulowane stosunki, zamknięcie polowania na wszelką zwierzynę na jeden rok, w następujących gminach: Ilińce, Chlebiczyn Polny, Oleszków, Karłów, Widynów, Drahasynów, Tuczapy, Uście. Zaznaczyć muszę, że tych ośm gmin, stanowiących piątą część gmin całego powiatu, to tylko najjaskrawsze przykłady dezorganizacji łowieckiej.

Narazie muszę się wstrzymać od sprawozdania dokładniejszego o stosunkach łowieckich w tutejszym powiecie, gdyż byłby to obrazek zbyt smutny, obawiam się więc, by nie podziałał deprymująco na towarzyszy z pod znaku świętego Huberta.

Uchwalono uprosić Starostwo, by karty myśliwskie wydawano li tylko po zasięgnięciu opinji odnośnego delegata.

Uchwalono spowodować Starostwo, by drogą odpowiednią ukróciło nieprawne wykonywania polowania przez straż graniczną i by wszystkim posterunkom Policji Państwowej w powiecie przypomniano skrupulatne przestrzeganie ustawy łowieckiej.

Po zumknięciu posiedzenia udali się delegaci do referenta spraw łowieckich tutejszego Starostwa, przedstawili mu pisemnie swoje uchwały, a tenże, pełen dobrej chęci i w przekonaniu dla ważności sprawy, obiecał jaknajdalej idącą współpracę i inicjatywę celem polepszenia opłakanych stosunków, uchylenia nadużyć i podniesienia kultury łowieckiej.

W sytuacji ekonomicznie i politycznie nad wyraz ciężkiej, w chwili, w której każdy obywatel walczy z troskami codziennemi — przebłysk nadziei lepszego jutra.

Dr. Michał Moysa.

* * *

Nowy Sącz, we wrześniu, 1923.

Z Nowego Sącza.

W Nowosądeczyźnie mizerja myślistwa rozwarła swe bezlitosne ramiona i dusi stan zwierzyny w nadzwyczajny sposób.

Od paru lat na rewirach zaoszczędzone kuropatwy, których spotykało się wprawdzie w nielicznych stadkach 6—10 sztuk, z których nic nie odstrzelono, jednakże co roku spostrzega się zanik taki — iż obecnie może nawet i austrjacki poborca podatkowy całemi dniami szukać bez rezultatu. (Mimo wszelkiego oszczędzania, zupełny zanik).

Pożądanemby było w całym powiecie zamknąć polowanie najmniej na przeciąg 3-letni i czuwać nad rozmnożą skrzydlatych.

Dochodzą nas wiadomości, iż Województwo krakowskie nadesłało projekt płacenia czynszów za rewiry, w stosunku obliczenia 1 zając na 40 hektarów i według ceny jednego zająca w dniu 1 listopada 1923.

Możeby było dobrze, na równinach, gdzie jest dużo obszarów ornych, na których zwierzyna gęściej się hoduje i więcej ma paszy do żerowania, jednakże okolice górskie, tak mało obfitujące w paszę, gdzie nawet chów bydła w o wiele niższym procencie daje się hodować, a temsamem i stan dziko hodowanej zwierzyny. A wynik tego obliczenia poniekąd jest nierówny w zastosowaniu górskich rewirów z rewirami na równinach. Poprzedni projekt zastosowania miernika w obliczeniu żyta, byłby może wzorowszy, gdyż w górach mało się żyta rodzi, taksamo, jak i ten biedny zajączek.

Grubsza zwierzyna, jak dzik, od czasów wojennych, gdzie zaczęli w najlepszych jego kniejach graniczyć bracia Słowianie, jest już rzadkością.

Stan sarn jest również bardzo słaby, co przyczyniło się do tego dzierżawienie rewirów z wolnej ręki przez kuchennych myśliwych, dla których kuchnia jest celem polowania.

Zaznacza się w sąsiedniem miasteczku ruch założenia Towarzystwa Myśliwskiego. który w takim składzie, o ile słyszałem (iż dochodzi do 30 osób), mało kto z nich ma pojęcie o zamiłowaniu myśliwskiem i liczy może na interes mięsny, który go zapewne zawiedzie i nabawi rozczarowania, gdy się mu oczy otworzą po ułożeniu statutu i regulaminu, który musi przewidywać nie kłusownictwo i tępienie zwierzyny do ostatniej sztuki, tak, jak poprzednio na swoim rewirze, gdzie niebyło dnia, aby tenże dzierżawca nie polował w całym sezonie. Tacy członkowie chcieliby zawiązać Towarzystwo, aby mieli szersze pole do działania i siali większe zniszczenie w zwierzostanie. Byłoby pożądane aby p. p. Delegaci ściśle zastosowali odniesienie się do nich na ostatnim zjeździe Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie i strzegli czystości zawiązujących się Towarzystw.

Zwracam jeszcze raz na powyżej wspomniany projekt płacenia dzierżawy rewirów myśliwskich, iż to dążyłoby do dalszego zaniku stanu zwierzyny w takich rewirach, gdzie dzierżawią ci tak zwani kuchenni myśliwi, którzy wykorzystać zechcą do zupełności uiszczoną opłatę za rewir. Dziwne tylko w rewirach rybnych, gdzie zajmują przeważnie miejsce żydzi i robią dobre interesy, dzierżawy są o 100 % tańsze, choć wydatków na zarybienie i hodowlę nie ponoszą.

Dalsze rozsądzenie tej sprawy polecam gorąco Towarzyszom myśliwym.

Tow. Myśl. „Dunajec“.





Sprawy Towarzystwa.

SPRAWOZDANIE
z posiedzenia Wydziału z dnia 10. września 1923.

Przewodniczy Wiceprezes Cyryl Czarkowski-Golejewski, obecni wicepr. A. Mniszek, członkowie Wydziału inż. Ebenberger, Jędrzejowicz, Kamienobrodzki, Dr. Małaczyński, Münter, Pieńczykowski, Prek, zastępca członka inż. Danek, Reichard, kooptowany Śnieszek.

Mianowano delegatami na powiat Gorlice p. Wacława Byszewskiego z Lipinek, na powiat limanowski p. Tadeusza Paciorka w Limanowej, na powiat złoczowski p. Kazimierza Wolskiego, właściciela dóbr w Perepelnikach, na powiat przemyski Dra Bronisława Majewskiego, pozasłużbowego generała lekarza w Przemyślu, Marjana Dębickiego w Kniażycach, na powiat Śniatyn p. Moysę i p. Jeruzelskiego.

Przyjęło w poczet członków M. T. Ł.:

Inż. Różotowki Ludwik, Zwolski Eugenjusz, hr. Ponińska Michalina, Gidert-Studnicki Mieczysław, Biesiadecki Alfred, Thetschl Franciszek, Borek Tadeusz, Inż. Kuczyński Eugenjusz, Stefanus Witold, Inż. Durkalec Roman, Latoszyński Władysław, Kutka Stanisław, Szpytko Jerzy, Spółka Myśliwska Czernichów, Herczka Władysław.

Zniżono wkładki członkom M T. Ł., zasługującym na uwzględnienie ich prośby w liczbie 9.

OD WYDZIAŁU i REDAKCJI!

Przerachowanie złotego polskiego na marki na miesiąc wrzesień przyjęto na 45.000 Mkp., wskutek czego wkładka kwartalna, wpłacona w ciągu miesiąca października, wynosi 135.000 Mkp., prenumerata zaś „Łowca“ na kwartał dla nieczłonków M. T. Ł. wynosi 68.000 Mkp.

Dobrowolną daninę łowiecką złożył: Dr. Alfred Sander 33.000 Mkp.

Odznaki członków i delegatów są do nabycia w biurze Towarzystwa w cenie po 20.000 Mkp., z doliczeniem kosztów opakowania i porta.

Członków, zalegających wkładkami za poprzednie kwartały, prosimy o wyrównanie tych zaległości wraz z wkładką bieżącą, a to przy użyciu blankietów P.K.O., w tym celu im do niniejszego numeru, z notatką na odwrotnej stronie, dołączonych. Członkowie, którzy w miesiącu pnździerniku nie wyrównają zaległych wkładek za III kwartał, zostanie wysyłka „Łowca“ wstrzymana i będą uważani za nieczłonków M. T. Ł. Zarazem prosimy członków, którzyby sobie życzyli prenumerować „Łowiec polski“, miesięcznik Centr. Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, by nam zakomunikowali celem zamówienia odpowiedniej ilości numerów tego organu, który się pojawi w grudniu b. r.

Zamknięcie polowania.

L. 14103. *Skole, dnia 6. lipca 1923.*

Do Zarządu gminy w Synowódzku Wyżnem i Niżnem.

Na skutek interwencji delegata Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie, zamykam aż do odwołania na podstawie przepisów ustawy z dnia 13. lipca 1909, Dz. Ust. Kr. Nr. 2, z powodu nadmiernego przetrzebienia zwierzostanu, polowanie na wszelkiego rodzaju zwierzynę łowną w tamtejszej gminie — a to tak na terytorjum Spółki łowieckiej, jak też i na terytorjum właścicieli samoistnego prawa polowania.

Treść powyższego reskryptu podać należy bezzwłocznie do wiadomości stron interesowanych, jakoteż ogłosić w sposób w gminie używany, z tem, że przekraczający ten zakaz, pociągnięci zostaną do surowej odpowiedzialności karnej.

Radca Województwa i Kierownik Starostwa.



Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, Zimorowicza 14. — Tel. 740.
Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.